This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

DK
651
W2W5
v.3

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

Redakcya i Administracya Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88, we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.

№ 475.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

Paulina z L. Wilkońska.

MOJE WSPOMNIENIA

o życiu towarzyskiem w Warszawie.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

CZĘŚĆ III.

Cena 40 kop.

W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya Warecka 14.

1907

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

76 ROK ISTNIENIA.

Gazeta Polska

Wychodzi pod kierunkiem **R. Dmowskiego,**

Od Nowego Roku została **znacznie powiększona,** przy jednoczesnem wprowadzeniu ulepszeń wewnętrznych.

„Gazeta Polska" stawia sobie za cel stać się możliwie pełnym wyrazem polityki narodowej, życia polskiego i myśli polskiej we wszystkich dziedzinach.

W dziale literatury dawać będzie utwory pierwszorzędnej wartości.

„Gazecie Polskiej" przyrzekli najnowsze utwory swego pióra:

Henryk Sienkiewicz,

Jan Kasprowicz, Wł. St. Reymont

i wielu innych.

Wiadomości, dotyczące **handlu zbożem i produktami rolnymi,** będzie podawało „Gazecie Polskiej" **„Biuro Kooperacyi Rolnej".**

Pomimo zmian i ulepszeń, cena GAZETY POLSKIEJ pozostaje **bez zmiany**

a mianowicie:

		Roczn.	półr.	kwart.	mies.	
w Warszawie	rb.	9.60	4.80	2.40	0.80	Zmiana
Z przes. poczt.	„	12.—	6.—	3.—	—	adresu
Za granicą	„	18.—	9.—	4.50	—	20 kop.

Adres Redakcyi: Boduena 5. Adres Administr.: Warecka 14.

Paulina z Ł. Wilkońska.

MOJE WSPOMNIENIA

o życiu towarzyskiem w Warszawie

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

CZĘŚĆ III.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70-
1907.

DK651
W2W5
v.3

Czwartego lutego umarł nagle, po kilkodniowym ciężkim tyfusie brat drogi, ukochany mojego męża, Klemens Wilkoński w Górznie pod Garwolinem w Lubelskiem, honorowy sędzia pokoju. Był to jeden z najgodniejszych, najszlachetniejszych i najrozumniejszych obywateli, mający miłość współobywateli jako i ludu i szacunek powszechny, ogólny. Z Augustem wiązała go bezprzykładna miłość braterska, jakiej nigdzie w życiu nie napotkałam. Dla mnie nietylko był bratem, ale i ojcem.

Mimo, że w Górznie jest przy kościele grób familijny, położył w swojej woli ostatniej, ażeby go pochowano na cmentarzu, pomiędzy chłopkami jego. I tak się stało. Tłum nader liczny odprowadził go na ostatni spoczynek. Obywatele zjechali o mil kilkanaście, lud z całej okolicy przyciągnął. Skończył w sile wieku, aż nadto przedwcześnie i był żałowanym bardzo.

W domu jego poznałam także hr. Jezierskiego z Ryk, marszałka szlachty gubernii lubelskiej, który, oceniwszy charakter i rozum ś. p. Klemensa, nieraz ze względu stanowiska swojego do szlach-

ty obywateli, jego zasięgał zdania. Później będę jeszcze o nich mówiła i o Górznie.

Zjechał na czas jakiś do Warszawy młody Litwin, dla poznania stolicy Polski i jej towarzystw, którego nazwę Olgierdem. Miał do nas listy z Wilna i odrazu stał się naszym codziennym gościem. Uczeń uniwersytetu petersburskiego, pełen podniosłego zapału, piękny i szlachetny, zalecającą był reprezentacyą młodzieży litewskiej. Przyjaciel i wielbiciel Edwarda Żeligowskiego, był tegoż samego wieczoru u niego, gdy autor „Jordana" aresztowanym i wywiezionym został. I wraz z drugimi kuryerskiemi końmi w szlaki kibitki pogonił. Z młodzieńczem uniesieniem mówił o Żeligowskim—z głębokim żalem i oburzeniem o tym smutnym wypadku. Od hrabiego Rzewuskiego usuwał się, o ile mógł.

Na jednym z wtorkowych wieczorów u nas opowiadał autor „Soplicy" nader zajmującą dykteryjkę o nadużyciach w Rosyi. A winnam dodać, że lubił w tej materyi prawić.

— Nadeszła raz do Petersburga nagła, a straszna denuncyacya—zagadał,—że w mieście ***, w gubernii *, pomiędzy gmachem teatralnym a muzeum narodowych pamiątek, kowal kuźnię postawił, ćmi i iskry sypie, zagrażając pożarem pięknym i kosztownym gmachom. Cesarz zatem wysłał adjutanta

swego, pułkownika hrabiego N. N., który zaraz karetą wygodną, kuryerskiemi końmi, z wiernym a sprawnym wyjechał Iwanem. A było to w jesieni i mieli do czynienia z ciągłą słotą i drogami prawie nie do przebycia. Po dniach dziesięciu czy dwunastu podróży, w ciemny a srodze dżdżysty wieczór dojechali wreszcie do *** jak oznajmił pocztarek. Kareta grzęzła po osie w błocie, a w koło było czarno, jak w kominie! W tem mignęło światełko, jakby promień zbawienia.

— Gdzież jesteśmy? — zapytał pułkownik. — Czy na miejscu? Jakież to światełko?

— To w oberży wasze „prewoschoditielstwo"— odrzekł pocztarek i powóz stanął.

— Oberża! To i zatrzymajmy się nieco dla wytchnienia. A daleko jeszcze do miasta?

— Tu zaraz, wasze „prewoschoditielstwo". Ale topiele okropne i w ciemności niebezpieczeństwo wielkie.

— To więc lepiej tu wysiąść?

— Strach jaka topiel wasze „prewoschoditielstwo".

Gospodarz zajazdu wybiegł, parobek, za nim obdartus jakiś i dwie dziewki. Bo raczej była to karczma tylko. Pułkownik się wzdrygnął, ale cóż było począć? Gospodarz poświecił latarką, podając mu rękę. Parobek spuścił stopień. Odartus pomógł Iwanowi zsiąść z kozła, który coś tam mruczał przez zęby.

Pułkownik zatem wysiadł i kazał sobie dać pokój. A dano mu nędzną izdebkę... oknami deszcz pluskał, a drzwi chwiały się na zawiasach.

Jedna z dziewek rozniecila niebawem na kominku ogień. Gospodarz cztery łojówki w cynowych świecznikach na stole postawił. Parobek i obdartus wnieśli z powozu walizę, dywan, poduszki safianowe, wielki *sac de voyage* i t. d.

A szczęście było prawdziwe, że przezorny Iwan zabrał z sobą samowar, wyborną herbatę z kwiatem, cukier i rozmaite wyśmienite zakąski, więc i jeszcze zrobiło się jakoś.

Nazajutrz deszcz lał a przytem i mgła gęsta zalegla, że i o dwa kroki świata widać nie było. Pułkownik zbudził się wcześnie. Pragnął co rychlej dostać się do miasta, do wygody jakiejś, a potem śpiesznie zakończyć śledztwo i do Petersburga powrócić.

Wydał rozkaz piśmienny, by władze miejskie i mimo deszczu, stanęły o godzinie 10 na miejscu sporu i czekały przybycia jego. Jakiś ubrudzony policyant obecny w oberży, wyrzekłszy:

— „Haroszo, wasze wysokoblahorodie" — zaraz z tym pobiegł skryptem.

A pułkownik kazał niebawem te same konie kuryerskie, które go tu przywiozły i które ku wygodzie zatrzymał swojej, do karety założyć.

Iwan skrzętnie znowu zapakował wszystko. Pułkownik rzucił imperyała gospodarzowi. Wsiadł do powozu. I ten powlókł się zwolna wśród głębokich kałuży.

Po chwili zatrzymał się. I przez mgłę deszczową dojrzano jakiś budyneczek, w którym iskierki tryskały żwawo.

— *A po co* to stanął—zapytał pułkownik.

— Jesteśmy przed kuźnią, wasze „prewoschoditielstwo"—odpowiedział pocztarek.

I w tejże chwili kilku przemokłych ludzi w mundurach urzędniczych, z czerwonemi nosami u drzwiczek karety stanęło, kłaniając się aż do ziemi: były to pierwsze władze miasta ***.

— Co to znaczy wszystko? — rzucił się pułkownik—zawieźcież mnie na miejsce sporu!—Gdzież jest teatr? Gdzie muzeum narodowych pamiątek?

— „Wasze wysoko błahorodzie".

— „Wasze prewoschoditielstwo"!

— „Wasze siatielstwo"!

Odzywali się przerażeni dygnitarze miasta ***, jeden lepiej od drugiego, coraz z pokłonami niższemi. Poczem jeden wielki płócienny rozpiął deszczochron, drugi drzwiczki karety otworzył, a trzeci rozłożył przed pułkownikiem plan budowy przyszłego teatru i przyszłego muzeum narodowych pamiątek. I wykazali, że właśnie kuźnia, przed którą stał powóz, zagraża niebezpieczeństwem tym gmachom.

Pułkownik zaklął straszliwie, najstraszniej, jak tylko można po moskiewsku... Wyrzucił plan. Odepchnął kłaniających się nizko dygnitarzy, zaklął grubiej jeszcze, jeżeli podobieństwo po temu było. Zatrzasnął drzwiczki i rozkazał pocztarkowi nawrócić.

Sapał, klął, że aż Iwan zamilkł z trwogi... Kareta potoczyła się przez kałuże! Pocztarek smagał konie, a Iwan dawał mu szturhańce.

Pułkownik zmitrężony, zmarnowany do Petersburga powrócił. Dyety, rozumie się, podał, o ile

mógł najwyższe. Gratyfikacyi zażądał, którą mu naturalnie przyznano. I order otrzymał.

Wszyscy słuchający ubawili i pośmiali się. Jeden tylko Olgierd poważniejszy zachował wyraz.

Gawęda pociągnęła się. Młodzi różne wprowadzali kwestye, nie oglądając się na nic. Była i mowa o politycznych przewrotach, przez jakie Europa przechodziła niedawno. A Rzewuski się ozwał:

— Zawsze to, zawsze, jakby z ciemności i pieczar, stawają nagle na czele rozruchów, rewolucyi, ludzie jacyś nieznani, nazwisk niesłyszanych nigdy...

— Bo też nowe idee tylko nowych mają przedstawicieli—ozwał się Olgierd młodzieńczo, stawając przed Rzewuskim.—Bo stary, zmurszały konserwatyzm nie jest zdolen wznieść się do pojęć postępowych ludzkości żyjąc-li dla przywilejów swoich, prerogatyw, osobiście arcy-dogodnych. Tamci mienie, rodzinę, krew i życie niosą w ofierze z zapałem, gdy ci ostatni swoim tylko bogom i narowom zastarzałym hołdują.

— Pan dobrodziej gdzie byłeś na uniwersytecie?—zapytał go Rzewuski chłodno.

Olgierd jeszcze więcej zapłonął i odrzekł:

— W Petersburgu przez lat cztery.

— W których latach?

— W czterdziestym siódmym, ósmym, dziewiątym i pięćdziesiątym.

— A! To pan zapewne i „Felicytę" paliłeś?

— Ze łzami w oczach... Bo czczę wysoko Odyńca... Ze łzami—zaiskrzyły się oczy młodego—alem palił porówno z drugimi.

— Solidarność! — pomruknął Rzewuski szyderczo.

— Dusze nasze były zbolałe, a w takim stanie wszystko rani i jątrzy. Postęp hamowany we wszystkiem dopatrzy się wsteczności, „Felicyta" jest rzadkiej piękności poetyckiej, ale raniły nas niektóre ustępy, jak nam zdawało się wtedy, dążności wstecznej, szkodliwej dla młodzieży... I dlatego wykonaliśmy ono *auto da fe* ku przestrodze dla drugich. Później, zapatrując się mniej gorąco, uznamy może, żeśmy za porywczo działali... — Olgierd rzucił się znów na krzesło.

— Może pani zrobisz wybór — zwrócił się ku mnie Rzewuski — ażeby nam pan Komorowski jaki poetycki przeczytał ustęp.

— Bardzo chętnie—i podałam „Nocnice" Antoniego Sowy.

Komorowski począł czytać, zrobiło się cichutko. Czytał pięknie, jak zawsze — a może z większem przejęciem jeszcze.

— Dziwnie, dziwnie piękne! — poszepnął Olgierd z całym akcentem litewskim.

— Tak... tak... — ozwał się Rzewuski, gdy umilkł Komorowski i chwilowa zaległa cisza.—Tak.· jest niezaprzeczone natchnienie... Ale maniera ta sama, jak u wszystkich naszych młodszych poetów.

— Bo wszyscy zarówno jedną czują niedolę!— rzucił z cicha jeszcze młody Litwin i pokraśniał.

Rzewuski coś tam znowu opowiadać począł. Zadeklamował wiersz dawny: „Dumanie Polaka w zamku jazłowieckim". Po nim deklamowali mło-

dzi świeższe utwory. Rozmowa ożywiona pociągnęła się do czwartej godziny z rana.

Marszałek szlachty powiatu *, w którym mieszkał Rzewuski, chciał złożyć urzędowanie swoje, podobno w myśli, ażeby go bracia-szlachta prosili, by i nadal marszałkiem pozostał.

Przychodzi do sejmiku, a przyjaciel gorliwy pana marszałka wysuwa się z mową i błaga, by swojej opieki nie pozbawiał senatu.

— Proszę i błagam ciebie, dostojny mężu, nie opuszczaj nas! — wołał — błagam w imieniu całej szlachty powiatu naszego! Ale co mówię? W imieniu gubernii całej! Kraju całego! Ale co mówię? W imieniu całego imperium, wołam do ciebie, jaśnie wielmożny panie! Ale co mówię? W imieniu całej Europy prośby moje zanoszę! Piastuj dalej tę godność, która tobie tak przystoi! Błagam i wołam jaśnie wielmożny panie!

Mówca do łez się rozczulił. Pan marszałek nie był zatwardziałego serca, zwilgotniała mu także powieka i zatrzymał przez braci szlachtę powierzoną mu godność.

W tem podnosi się Rzewuski i oddawszy głęboki ukłon krasomówcy, odzywa się poważnie:

— A ja, jaśnie wielmożnemu panu, który tak świetnie, nie tylko w imieniu całego imperium, ale nawet i w imieniu Europy całej, przemawiałeś do

dostojnego marszałka, składam uniżone podziękowanie w imieniu Portugalii — i głęboko pokłonił się znowu.

Odkąd, wróciliśmy z Zamościa, ciągle obiegało, że Rzewuski chce dziennik wydawać w Warszawie i że stara się o konsens. Sam o tem razy kilka wspomniał i wreszcie zaproponował mężowi mojemu, by został jego współredaktorem.

August odmówił z góry, inną, obowiązkową zasłaniając się pracą. Lecz to wezwanie powtarzało się, jako też i namowy znajomych i przyjaciół.

Najgorliwiej niemal przemawiał za tem Antoni Muczkowski.

— Jeżeli ty odmówisz, obejmie redakcyę ktoś inny — powtarzał — nada pismu wsteczny kierunek, którego wpływ szkodliwym się stanie. Więc tego dopuścić nie można. Przecie poprowadzić możesz swój organ, jak zechcesz; a jeżeliby hrabia bruździł, to ustąpisz od razu. Od ciebie będzie zależał wybór osób, które mają redakcyę złożyć. Więc nie przepuścicie artykułów, które z waszemi zasadami zgodne nie będą.

I nakoniec, po wielu *pro* i *contra* gadaniach— wszyscy byli za tem, ażeby mąż mój objął redakcyą. Jakkolwiek z niechęcia, poddał się namowom — ale warunek postawił Rzewuskiemu: że on sam współredaktorów wybierze.

Rzewuski przystał na to od razu. I mąż mój wezwał do redakcyi: Juljana Bartoszewicza, Walentego Zakrzewskiego, Wacława Szymanowskiego, Henryka Lewestama, Wagnera, a na sekretarza Konstantego Waligórskiego, który przesiedział rok w cytadeli, i rok jeden w Zamościu.

Wszyscy chętnie przystali. — A dziennik ochrzczony został „Dziennikiem Warszawskim".

Posiedzenia odbywać się miały u nas w każdą niedzielę, o godzinie czwartej po obiedzie. Zostali na te sesye zaproszeni: Korzeniowski, Wójcicki i inni.

Były to nader zajmujące posiedzenia — i mnóstwo zbierało się osób. Pomiędzy innemi bywał i hr. Mieczysław Borkowski, brat Leszka. Czytano artykuły—rozprawiano— a Rzewuski wszystko swoim krasił dowcipem.

Jedni pozostali na wieczór. Drudzy odeszli. A przyszli znowu inni, widząc światło i domyślając się, że jesteśmy w domu.

Jednej niedzieli dużo zeszło się osób—a potem coraz jeszcze przybywało więcej przez wieczór cały. Rozmowa była ożywiona nadzwyczaj i wszyscy bawili się wybornie. Na raz jeden odzywa się Bartoszewicz:

— Muszę pójść jeszcze do Maciejowskich. Żona czeka na mnie. Pewno już blizko siódma.

— Pół do dwunastej! pokazał mu Szymanowski zegarek.

— Pół do dwunastej! A tom się zasiedział! Myślałem, że jeszcze niema siódmej. Co też tam biedna żona powie! Pożegnał się i szybko wybiegł.

Poczciwy, miewał takie zapomnienia — roztargnienia—i znajomi już do nich nawykli.

Nazajutrz przychodzi.

— A cóż żona?—zapytałem.—Czy sama poszła do Maciejowskich?

— Ej, gdzie tam! Czekała, i ani pojąć mogła co stało się ze mną. Żal mi jej było bardzo... Takem się zapomniał, że ani wiem, jak czas uleciał.

Ukazał się pierwszy numer „Dziennika Warszawskiego" i chętnie bardzo przyjęty został. Było coś tam od razu tysiąc kilkaset prenumeratorów.

W tem na posiedzeniach Rzewuski począł czytać swoje „Pamiętniki kasztelanica", które do odcinku przeznaczał. A były to wyszłe później „Pamiętniki Michałowskiego". Mąż mój silnie zaoponował—bez ogródki. Rzewuski na wykreślenie niektórych ustępów przystał zaraz... Na posiedzeniu następnem August wyraźniej jeszcze przeciw tym „Pamiętnikom" wystąpił. A poparł go Bartoszewicz i inni.

Na święta Wielkanocne wyjechaliśmy do wuja mojego w Płockie—gdzie nas nader serdecznie przyjęto. Mianowicie też w Ciechomicach u państwa Ciechomskich, najbliższych sąsiadów i przyjaciół wuja. Szanowny gospodarz powitał Augusta wierszem własnego utworu, który gdzieś tam, czego żałuję bardzo, w powodzi następnych, smutnych, utonął wypadków.

interes naprawić może!—dodał ktoś drugi— i winien to zrobić... nawet i sam dla siebie!

— Myślę, że zrobi się łatwo... że to pomyłka jakaś...

— Donos szkaradny!—pomruknął Olgierd—jak te wileńskie...

Przyszło jeszcze kilku znajomych... I, zaprawdę, przekonaliśmy się jaknajdowodniej w tych chwilach smutnego przejścia, ile mieliśmy życzliwych.

Posiedzieliśmy długo. Rzewuski wcześniej odszedł. A po odejściu jego każdy powtórzył: Gdyby chciał, odrobiłby wszystko!— Jeżeli odrobi, pokaże, że jest niewinnym!

Różne za nim pogoniły przypuszczenia, podejrzenia i sądy. Co do mnie jednakże, nie podejrzewam nigdy nikogo, a bez przekonania nie potępiam.

Warszawska jednakże publiczność objawiała dość głośno, co myśli — i niejedno wprost w oczy hrabiemu mówiono.

Przez dni następne pełno zawsze u nas było osób.

Zażądali fotografii naszych — i poszliśmy do Bajera. Augusta zrobił od razu dobrze. Ja po trzy razy siadałam—bo wyraz twarzy zawsze zbyt wielkie jawił cierpienie.

Nadszedł dzień wyjazdu — tęskny — smutny. Mąż mój był ożywiony, podniecony. Ja spokojna— ale przybita... przeczuciem niedalekiej boleści może!

Już od rychłego rana pełno u nas było znajomych... a podobno, że i jeden tak zwany anioł opiekuńczy. Zaszedł powóz najęty, bo mieliśmy po

drodze wstąpić do dr. Dworzaczka, mieszkającego w Topoli pod Łęczycą.

Nastąpiło pożegnanie... i widziałam łzy na niejednej źrenicy.

Rzuciłam pożegnawczym wzrokiem do koła. Wsiadłam do powozu—który potoczył się żwawo przez Marywil i t. d. Kilku przyjaciół — i mimo anioła opiekuńczego—odprowadziło nas po za Warszawę— pomiędzy innymi i młody Litwin.

Ostatnie pożegnanie — ostatni uścisk ręki— ostatnie spojrzenie. August przysłonił dłonią oczy. Jam załzawionym wzrokiem, jakoby w odurzeniu, na zielone patrzyła niwy. Było to czwartego maja 1851 roku.

Nocowaliśmy w Łowiczu. I spędziliśmy wieczorem parę godzin w towarzystwie dr. Malcza, który w Płockie jechał.

Dnia drugiego stanęliśmy w Topoli — serdecznie powitani przez dr. Dworzaczka, siostrę jego Paulinę i brata Karola. Zabawiliśmy tam dwa dni, a potem ruszyli dalej ku granicy.

Miałam służącą z sobą, Warszawiankę — która prosiła, by ją wziąść z sobą, nawet i bez paszportu! Było to wszakże nieco ulgi dla mnie w podróży.

W Słupcy nocowaliśmy znowu. A nazajutrz przybyli na spotkanie nasze, siostra moja z mężem, państwo Hipolitowie Radońscy.

Wieczorem objęłam w Siekierkach kolana matki mojej.

Te wszystkie przejścia, tak mnie złamały—że mnie lekarze poznańscy do Karlsbadu wysłali.

W ostatnich dniach stycznia August zachorował ciężko—i skończył życie dnia czwartego lutego, w rocznicę śmierci ukochanego brata Klemensa— i na tęż samą chorobę.

W roku 1855 spotykałam wiele hrabiego Rzewuskiego w towarzystwach. Kłaniał mi się zawsze z pewną oznaką poszanowania. Siadał niekiedy blizko i mięszał się ogólnikowo do pogadanki. Rozmowy jednakże pomiędzy nami nie było żadnej. Sądził zapewne, że żal żywię do niego—i czytałam to instynktowo w twarzy jego i spojrzeniu. — Dziś, gdyby żył, pomówiłabym z nim chętnie i wiele— wtedy nie mogłam.

Moskale nie lubili go, uważając w nim intruza do łaski namiestnika. A podobno, że i w dowcipach jego nie smakowali wcale.

Gdy n. p. po zawarciu pokoju paryskiego, mówili przy nim, że pokój dla nich wypadł świetnie— ozwał się:

— Tak, Francya ma pokój malowany, a Rosya z obiciem.

Zapewniano mnie, że pozostawił pamiętnik: „Moja spowiedź"—który po jego śmierci miał być wydany, a w którym odpowiedział na wszystkie czynione mu zarzuty. Dlaczegóż zatem ta książka nie ukazała sią dotąd?

Domieszczę tu, jako śliczny z Warszawy wianek, kilka drogich pamiątek z mojego Albumu, ażeby z czasem luźne kartki nie rozwiały się marnie.

„Gdy myśl natchnienia błyśnie w poecie,
Z obcych przedmiotów myśl tę wysnuje;
Poeta marzy, kobieta czuje,
Poeta natchnień szuka w kobiecie.

I coraz więcej gwiazda promieni,
A dąży prędzej stanąć na szczycie,
I szuka światła, szuka przestrzeni—
I cel wybiera i śpiewa życie,

I póty walczy siły wszystkiemi,
Aż mu ich zbraknie na walkę świata,
I człowiek kamień cięży ku ziemi,
Natchnienie — anioł w niebo ulata.

Kiedy więc jasne te chwile zbledną,
Kiedy myśl w prawdy ubiega kraje,
Jeżeli szczęście miał chwilę jedną,
Kobiecie winien.....

Wacław Szymanowski.

Gdy Bóg utworzył duszę poety,
Rzekł: tyś jest przybysz pomiędzy tłumem.
Ty będziesz sercem zdążał do mety,
Którą doścignąą inni rozumem.

. . . . . .

I w czyn się słowa zmieniły Boże.
Szła biedna dusza po życia drodze,
I błądząc wiele, karana srodze,
Pokutowała..... zapóźno może...—

Za nędznych szczęścia w życiu chwil kilka
Zbyt srogo ręka losu nim miota—
Wybaczcie jemu błędy żywota,
Gdzie serce mówi, rozum umilka.

L.

„Potęga każdego narodu w najściślejszym związku zostaje z jego stanowiskiem intellektualnem, i dlatego narody, przewodniczące innym w umiejętnościach, mogą mieć trwale polityczne znaczenie— znaczenie historyczne. Wszystkie inne jako pomocniki, muszą znikać z widowni świata, albowiem nie są posłannikami.

Ludwika Zejszner".

„Niewiasty na wschodzie są rodzicielkami ciał ludzkich, u nas — i ducha.

Aleksander Tyszyński.

. . . . . .

A wam ludzie, wam wesoło,
Was to bawi, co mnie boli:
Jeśli o łzach wam zanucę,
Łza wprzód skropi me jagody.

Kiedy odcień smutku rzucę,
Smutek zaćmi czoło wprzódy;
Kiedy piorun w piersi cisnę—
On mi lecąc pierś zrysuje;
Gdy minionem szczęściem błysnę,
Stratę szczęścia wprzód uczuję,
A tak z każdą łzą co spada,
Jękiem, który z strun wypłynie,
Z mych żył kropla krwi ubywa
I zgon prędszy zapowiada.
Lecz wy dzieci Pelikana.
Śpieszcie do piersi rozdartej.
Przebiegajcie wieszcza karty.
A gdy błyśnie krew rozlana,
Zawołajcie: „To krew tego,
Co rzucon w wirne przestworze
Ściga błękit, gwiazdy, morze,
Niemając bytu własnego.
Choć rodzinnym świat mu krajem,
Przecież myślą w inne dąży:
Między piekłem — ziemią — rajem—
Jak wygnaniec wieczny krąży!.....

Józefa Prusiecka.

(Wyjątek ten z wiersza mojego na pamiątkę dla Pani Pauliny Wilkońskiej wypisałam).

Kiedy serce gniewem płonie,
Kiedy gromy biją w łonie,
Wtedy bywa chłopska mowa,
Taka dzika, jak dąbrowa.
Gdy się skarży przed chmurami,
Że w nią biją piorunami. —

Gdy zaś mowie wolna wola,
To tak prosta jak topola
Gdy wierzchołkiem sięga nieba,
Że ją duchem kochać trzeba. —

Gdy zaś sercem chce pogadać,
Wtedy słowa będzie składać,
Tak serdecznie i tak rzewnie,
Że z pod duszy wyjmiesz pewnie,
A dasz chłopu z dobrej woli,
Co pracuje na chleb w roli.

Jam z surduta szlachcic z rodu.
Ale duszą, już za młodu
Byłem chłopem: — bo z kmiotkami
Zbratałem się śmiechem — łzami.

Więc gdym chłopem w sercu, w głowie,
Chłopem w piórze, chłopem w mowie,
Dalej pisać się nie skuszę —
Bo w tem wszystkiem masz mą duszę. —
Jan Kanty Gregorowicz.

„W Warszawie dnia 27 marca 1855 r. napisałam dla Pani Pauliny Wilkońskiej do Pamiętnika".

SZALONY.

„Patrzał na ludzi — patrzał i oniemiał;
I stał bez ruchu, jak gdyby skamieniał;
A tylko drżenie lekkie grało łonem,
W którem nadziei z śmiercią bój się toczy:
Tak poruszanie ziemi ledwo zoczy
Oko nad ciałem żywo zagrzebionem...
I stał bez ruchu.

Myśli, w otchłani mąk wnętrznych tonące
Wracają na jaw po długiej rozłące;
Niby w letargu złożony do trumny,

Budzi się nagle;—nie wie—jaw czy we śnie.
Wzrok i słuch błędny zwraca na gwar tłumny:
Pojął i wstrząsł się—zaśmiał się boleśnie.
Chciałby znów umrzeć!...

I szedł w tłum ludzi, i w słowa obleka
Krew i swój żywot: tłum przed nim ucieka,
Jako pacholę przed nocnem widziadłem;
A śmielsi tylko z szyderstwem nań plwali.
Sam został... Nagle staje przed wybladłym
Rzeźwe użycie, i nad nim się żali:
On się odwrócił.

Szedł krwawiąc stopy, miał kij i łachmany;
Szedł coraz dalej, dążąc w kraj nieznany.
Wszędzie gdzie spojrzał—duchowe konanie.
Doszedł—zkąd wyszedł... Jak swawolne ptactwo
Krew z ziarn gołoci, aż sam pień zostanie,
Tak myśl wydarło jemu to tułactwo:
I był bez myśli.

I żył bezświadom męczeńskiej krwi biciem;
A duch się nie chciał rozłączyć z tem życiem.
Jak przy posągu zamarłym Memnona,
Stoi przy zwłokach ludzkości żywota;
Czeka wskrzeszenia, gdy czas się dokona,
I jutrznia krwawa dla niej zamigota.
A czy doczeka?

Do Pauliny z L. W.

Dusza, co w martwym świecie nie zlodnieje,
Lecz tli się w czystej miłości iskierce,
Zrozumie krwawe walk duchowych dzieje:
Przyjm więc głos serca Ty, która masz serce!

Warszawa, d. 3 kwietnia 1855. *B*

---

*
* *

„Nasza to jeszcze kraina,
Nasze tam istną nazwiska,
Gdzie Dniestr, Odra i Dźwina
W morze bałwany swe ciska.

*
* *

Nasze to pole porasta,
Gdzie gnębił miecz Bisurmany,
Gdy chcieli grody i miasta
Swemi otoczyć kajdany.

*
* *

Dzielność naszego to męstwa
I dumny Niemiec wysławia,
Kiedy szukając zwycięstwa,
Uległ przy murach Wrocławia.

*
* *

Nasze to cięcia i blizny
Chwała we wieńce ubiera,
Gdyśmy, szukając Ojczyzny,
Walczyli w Samo-Sierra.

*
* *

Nasze to dzieła uwieńczy
Sława tysiącem wawrzynów,
Ich pamięć, zapał młodzieńczy
Do wielkich pobudzi czynów.

Urywek ten z niedrukowanego rękopisu, jako odbłysk myśli, która w pismach i rozmowach Pani zawsze przezierała, wpisałem tu na dowód, żeśmy Cię, Pani, dobrze pojmowali...

Warszawa, 1 maja 1851. *Konstanty P*.*"

„A jeśli się zaśmieję, to jak na pokutę,
A jeżeli zaśpiewam, to na smutną nutę."

„Jak tu śpiewać, jak śpiewać, kiedy w głosie łzy,
Kiedy wkoło żałobą, a przyszłości sny
Piękne, wdzięczne, rozkoszne znikają jak cień.
Kiedy serce podarte, kiedy każdy dzień
Nową znaczony klęską, nowy rodzi żal.
Trudnoż zamienić pierś w hartowaną stal.
By tym zimnym puklerzem każdy odbić cios
I pod nim wrzących uczuć dźwięczny ukryć głos.

Szczęsny kto umiał w sobie wyrobić tę moc,
Na wszystkie zmiany losu pogodne ma czoło.
Nie trwoży go dzień mroźny, ani krwawa noc,
Pociechę i nadzieję siać może w około.

Lecz to są rzadkie zjawiska wśród nas.
Hołd im, i cześć i podziw należy.
Dla nich pogodą burzy groźny czas,
Każdy z nich tchnie nadzieją i z ufnością wierzy.

A dla nas słabych potrzeba pieśni,
By jak niebieska rosa zeschłą krew
Obmywała z zgnilizny i pleśni —
Wiary, nadziei potrzebny nam śpiew!

Ja Ci tej pieśni zanucić nie mogę.
Za nadto żalu, za nadto boleści,
Za nadto cierniem usłaną mam drogę,
Bym mógł pieśń nucić swobodniejszej treści.

Pożegnam Cię westchnieniem i myślą żałoby,
Głosem współczucia dla Twego cierpienia.
Ty za to między smutne ziemi naszej groby —
Rzuć czasem ziarnko kwiatu przypomnienia.

Józef K."

Dnia 28 kwietnia 1851 w Warszawie.

PIEŚŃ ŻYCIA.

Życie człowieka, co w swem sercu chowa
Świętsze uczucia, pragnienia i łzy,
Jest to melodya weselno-grobowa,
Co od kolebki do mogiły brzmi.
W dziecięcej piersi ta nuta radosna
Jest jak skowronka wśród majowych pól.
Obojgu równo uśmiecha się wiosna,
Równo im obce tęsknota i ból.
Kiedy młodzieńcem obudzi się dziecię,
Nowych melodyi płynie w duszę chór,
Jakoś samotnie jednemu na świecie,
Więc przywołuje jedną z boskich cór:
Jeśli to przyjaźń, pieśń życia spokojna,
Jak ta wieśniacza, co po rosie mknie.
Jeżeli miłość — burzliwa jak wojna,
To niepokojem, to rozkoszą tchnie.
Gdy potem w męża dojrzeje młodzieniec,
Głośniejszą pieśnią jego łono drży.
Już on ukochał większy ludzi wieniec:
Dla Ludu — jego marzenia i sny.
Pieśń jego wówczas płynie tak szeroko,
Jak nurty Wisły, gdy topnieje śnieg;
W przyszłość nieznaną bystre rzuca oko
I w dali szczęścia upatruje brzeg.
I pieśń żeglarza nucąc pośród fali
Płynie wesoło, jakby losy znał,
Zdala Nadziei pochodnia się pali,
On płynie śmiało wśród wirów i skał:

Aż biedny widzi, że brzeg ukochany,
Który on blizko, o! tak blizko śnił —
Coraz złowrogie oddalają piany,
Że go dosięgnąć nie staje mu sił;
Duszę i serce zwątpienie ogarnie,
Z rozpaczą ciska siebie w morską toń —
Porzuca okręt, ginący tak marnie,
Wieniec Męczeński wkłada na swą skroń;
Albo zostaje do łodzi przykuty —
I chociaż dźwiga ziemską życia pleśń,
Z melodyi ziemskich odarty, wyzuty —
Jedna do Boga wznosić umie pieśń.

Warszawa, 28 kwietnia 1855 r. *Seweryn Kapliński.*"

Już po napisaniu tych „Wspomnień" powzięłam wiadomość, że dwaj bracia dr. Ferdynanda Dworzaczka, Karol i dr. Józef, zostawali przez lat kilka na Syberyi za rok 1863. Karol w Nowohopiersku, gub. Woroneżskiej — dr. Józef nie wiem gdzie. Dzierżawiona wieś Topola przez dr. Ferdynanda jest dziś donacyą generał-majora Tuchołko, za gorliwe odznaczenie się w służbie.

DODATEK.

dopełniający opowiadania poprzednie.

Władysław Syrokomla.

Jeszcze w Warszawie doszły nas nader miłe listy Syrokomli wraz z przyczynkami poetyckiemi do „Wiązanki", za które podziękowaliśmy mu serdecznie.

Później doszły nas następujące już w Siekierkach:

„Przez Nieśwież, Mir, Załusze, 3 i 15 lipca 1851 r.

„Pani!

„Winą nadziei, które my, biedni ludzie, lubimy sobie wić dlatego, aby później płakać po ich zawiedzeniu, winą mówię nadziei słodkiej, że będę

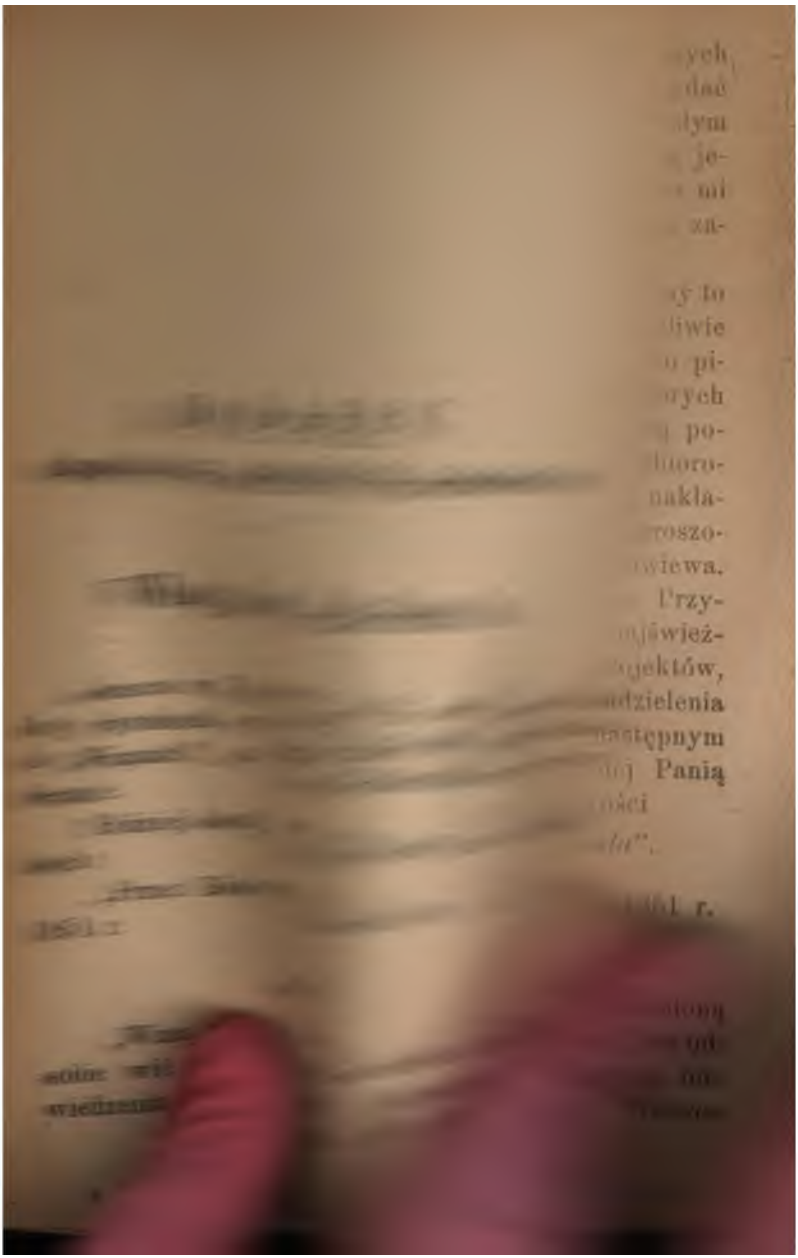

w Warszawie tego lata, nie odpisałem na miły list Pani z dnia 16 kwietnia. Złorzeczę losom, że mi tej radości odmówiły, ale w głębi duszy może i rad jestem, że jeszcze nie tak prędko moją facyatą odczaruję pochlebne dla mnie złudzenie łaskawych przyjaciół-korespondentów. Większą połowę maja przesiedziałem w Wilnie, tak więc przeszła dla mnie bez poetyckich wrażeń najpiękniejsza pora roku. Żelazna praca i ciągłe deszcze trzymają mnie wśród wioski daleko od natury: tylko czasem promienie różowe zachodniej jutrzenki uderzą wieczorem w okna mojej ciemnej pracowni, oświetlą wielki obraz Jana Kochanowskiego, mojego patrona, zawieszony obok biórka do pracy, wtedy to gody dla moich marzeń, ale tych godów tak niewiele, tak są krótkie, że proszę się nie dziwić mojemu milczeniu. Pisać do dobrego Państwa postanowiłem sobie nie inaczej, jeno w chwili swobody duszy, kiedy ta snadniej wylewać się może, a w natłoku prac, interesów i kłopotów ziemskich niełacno o swobodę.

Jeszcze dobroć Pani przebaczy, że do księgi Jej wspomnień w tej chwili nic nie posyłam, jedna przyczyna, że w pracy i kłopotach nie mogę znaleźć sam siebie. Kiedy to nastąpi? przeczuwam instynktem poety, że chyba po otrzymaniu listu Państwa, bo podobne przyjemności duchowe zwykły dzielnie mnie elektryzować.

Piszę do Zawadzkiego, aby mi co prędzej przesłał „Wiązankę", jak skoro się pojawi. Czekam jej z największą niecierpliwością. Dawno to już, dawno było, aby pismo zbiorowe skupiło wokoło siebie tyle wielkich imion: Gołuchowski, Kre-

mer, Libelt, Sowa — co tu gwiazd, co tu promieni błogich spadnie na ziemię, a wszystko dzięki zacnym chęciom, dzięki staraniom Redaktorki.

U nas, na Litwie, straszliwa głuchota w świecie literackim, nie iżbyśmy się nie mogli zdobyć na jakieś tam objawy życia, ale cenzura, straszliwa, czyśćcowa cenzura, tłumi swą ciężką łapą każdy, by najniewinniejszy oddech piersi. Jeszczeby półbiedy z surowością prawa, ale ciemnota, lenistwo i lękliwość cenzorów stawi nieprzebytą tamę pomiędzy piszącymi a publicznością. Księgarze mają stosy rękopisów, tysiące planów, ale straszliwy Muchin zabija je, kaleczy, morzy. O tym naszym cenzorze możnaby, jak o Fryderyku wielkim, napisać całą książkę anegdot, onby je najnaiwniej, sam, z zadowoleniem podpisał. Ale kto się bliżej z naszą cenzurą nie zna, ten nie uwierzy i weźmie te najautentyczniejsze anegdoty za nasze własne koncepta. Oto przykład jeden z tysiąca: w przedruku jakiejś poznańskiej komedyjki, kazał rozbroić jakiegoś myśliwca, na zasadzie, że teraz nosić broni nie wolno. Sam jeden wyraz burzliwy, choćby oznaczał drożdże, nie podoba mu się jako rewolucyjny.

Ale po co mam podobnego rodzaju wieści donosić z za Niemna? Oto dlatego, aby w Warszawie mniej się gorszono, żeśmy w piśmiennictwie niedosyć postępowi, aby wiedziano, z czem my walczymy.

Hrabia Rzewuski u nas obudził wielką ciekawość, ale... śmiało mówię, niewiele dla „Dziennika" współczucia. Opinia publiczna oburza się na jego artykuł: „Cywilizacya i Religia" — i słusznie. Zwa-

my już oddawna jego zasady w tej mierze, więc się nic nowego z tego artykułu nie dowiedzieliśmy. Ale pytam, na co igrać z opinią, na co wznawiać te drażliwe punkta? Kto z chrześcian prawych uwierzy, aby boska nauka Chrystusa stała na straży ciemnoty i przewag siły materyalnej, kto uwierzy w Ducha świętego, dawcę oświaty, nauczyciela prawdy??? Lękam się, aby ten i podobne artykuły hrabiego nie zachwiały powodzenia dziennika, tak dobrze z innych względów urządzonego. Daćby pokój tym tak zwanym kwestyom żywotnym, które nie zhołdują zwolenników do jezuickiej teologii, a w materyalnych zasobach pisma mogą przynieść uszczerbek. Tak mi się przynajmniej widzi, tak wnoszę z tego, co mi mówią i piszą, bo sam oprócz dwóch ciągów artykułu, o którym mówię, dziennika nie czytałem. W Wilnie i w Mińsku, gdziem bawił całą wiosnę, ta gazeta jest rzadką jak kruk biały.

Czy nasz Moniuszko znanym jest Pani? Czy bawi dotąd w Warszawie i z jakiem powodzeniem? Pożegnałem go na wyjezdnem z Wilna ze szczerem życzeniem dobrej włóczęgi—i nie wątpiłem, że Warszawa rada udzielać współczucia wszystkiemu, co swoje, z otwartem powita go sercem. Czy tak było? Przerabiam dla niego „Cyganów" Kniażnina, do których muzykę dorobił. Ale dla natłoku pracy, dla braku wolnej myśli, nie mogłem mu posłać do Warszawy libretta, już w znacznej części napisanego.

Po długich zwłokach, po skomunikowaniu się z Romualdem Podbereskim, którego jeszcze 1 maja zastałem w Wilnie, w objęciach św. inkwizycyi,

przystępuję nakoniec do całkowitego zbioru mych poezyi. Nabył je u mnie Zawadzki i ma wydać razem z wiernym przerysem tacyaty autora, w złym humorze, z powodu przeprawy w cenzurze, jaką jego arcydzieła odbyć musiały. Po wyjściu miło mi będzie przesłać Pani mą książkę, a tymczasem zamawiam sobie łaskawe pobłażanie.

Czy dawno Pług pisał do Państwa? Zacny to człek, przyjaciel mój od dzieciństwa, ale straszliwie niewyrozumiały, wciąż gniewa się, że ja rzadko piszę, chociaż Bóg widzi, że mi na chęciach dobrych nie zbywa. Czytałem w rękopiśmie jego dobrą powieść, „Pan Marcin", do „Wiązki", pisma zbiorowego, które miało wydawać się w Wilnie, nakładem p. Joachima Berezowskiego, mecenasa-groszodawcy, ale jak słyszę, projekt ten się rozchwiewa. Oczekuję u siebie na wakacye p. Wacława Przybylskiego (Maciek Matewka) z zapasem najświeższych wileńskich wiadomośei literackich, projektów, obaw, nadziei. Co osądzę być godnem udzielenia z tych nowin, nie zaniedbam umieścić w następnym liście, który, iż rychlej nadejdzie i sowiciej Panią unudzi, przyrzekam. Pełen czci i życzliwości

Syrokomla".

„Przez Nieśwież, Mir, Załusze, 4 i 6 lipca 1851 r.

Zacny Panie Auguście!

„Niegodziwie wypłacam się za nieocenioną Twą dobroć, gdy listowi Twemu daję leżeć bez odpowiedzi przez trzy miesiące. Podróże, praca, niezdrowie, nadzieja zawiedziona, że Was w Warsza-

wie odwiedzę, przykre wrażenia, jakie się od kiepskiego świata odbierały — to przyczyna, dla której moi dobrzy korespondenci musieli tęsknić (sic!) tak długo za mojemi listami. Teraz za to wynagrodzę sobie dobrowolnie zaniedbaną przyjemność, a Wam, zacny Panie, aż do uprzykrzenia gadatliwe listy posyłać będę. A naprzód poznajomić się nam lepiej wypada.

Wielkie serce, złoty humor, przygody życia Twojego, to wszystko było mi już nieco znane z „Ramotek", z opowiadań Kraszewskiego, Ksawerego Bluma (ucznia agronomii instytutu w Marymoncie) mojego teraz sąsiada. Teraz w Mińsku poznałem się z Dybowskim, dobrym Twym znajomym, który uprzyjemniał mi cały wieczór opowiadaniem o Tobie, Twej małżonce, niedawnej Twej przygodzie i t. d. Do tylu danych, dodawszy mój instynkt poetycki, cóż za dziw, że Was poznam w gromadzie tysiąca ludzi. Pozostaje mi teraz zaspokoić Twoją chęć dowiedzenia się o mnie, moim domu, dziatwie. Oto urodziłem się w 1822 r.; odbyłem wychowanie w szkołach prowincyonalnych, potem wałęsałem się po drodze żywota lat kilka; potem w 1844 r. ożeniłem się; jednocześnie wziąłem w rękę to oto pióro (szczęście moje... zgubę moją) i osiadłem stale na wsi, dzierżawiąc od księcia Wittgensteina Załucze. W przeciągu tych lat ośmiu, Bóg dobry dał mi napisać z dziesiątek tomów, udarował trojgiem dzieci i 350 rublami srebrnemi czystego zysku z honoraryów księgarskich, które składają cały mój majątek, bo reszta mych kapitałów w pracy, nadziei, gruszkach na wierzbie i t. p. za-

bezpieczeniach, w tej chwili nie jest do zrealizowania na gotowiznę.

Żyjemy w ciszy, z książkami, z kwiatami, z dziatwą, z dobrymi ludźmi i ze świętą golizną, którą pojmuję z jej wdzięcznej, poetycznej strony, tak dalece, że ile razy fortuna drogą sukcesyi po wujaszku, lub sowitszego honoraryum, błyśnie mi przyjaźniej w oczy, staram się korzystać z jej darów zawzięcie, aż znów wrócę do mojego normalnego stanu finansów, do zera, które jest figurą globu, symbolem wieczności, aureolą mojego oblicza, czarodziejskiem kołem (*circulus vitiosus*), w którego środku staję bezpieczny od pokus: pychy, egoizmu, lenistwa. Z konieczności tedy jestem cnotliwym, lubo niektóre grzeszki, a przedewszystkiem święte lenistwo bardzo się ponętnie do mnie uśmiechają. Nieraz wyobrażam sobie, że jestem wielkim pąnem, nic nie robię, jeno leżąc pod cieniem klonu, z hawańskiem cygarem, czytam od poczty do poczty gazety, żurnale, romanse, a jeżeli raczę pióro wziąć do ręki, to tylko dla pisania miłych dla serca przyjaznych listów... (o! wtedy miałbyś co tydzień list odemnie) tylko dla wylewania na papier poetyckich pomysłów. Takie to marzenia nieraz się do mnie wdzięczą, ale nic z tego... Wiem czyje to figle... *Spiriantus!* i za dykcyonarz łaciński, i do pracy, a duch-kusiciel znika.

Ale wracam do dalszego kreślenia obrazu mojego żywota. Żona moja kilka lat młodsza odemnie, z całą rezygnacyą znosi swą godność żony poety i w dobrej wierze upaja się dymkiem chwały swojego mężula. Wprawdzie wymyka się, jak mo

że, ilekroć z jakim gotowym utworem staję dla odczytania go, ale raz złapana gotowa cierpliwie wysłuchać, a nawet sama deklamować moje gawędy. Tego tylko w głowie pomieścić nie może, dlaczego pisarz tak wzięty, tak przechwalony, tak małe bierze honoraryum. Trudna na to odpowiedź... słusznie czy niesłusznie, trzeba jęczeć na chciwość nakładców, bo inaczej we własnym domu zachwieje się wiara w potęgę mojego talentu.

Dalszemi personażami naszej rodziny są: córka Marynia, panna lat cztery i pół, dobrze już składająca sylaby, syn Władysław, trzyletni kawaler, rokujący, iż z laty będzie ozdobą mirskich jarmarków, dla zamiłowania koni, psów, biczów, a na ostatek półroczne niemowlę, Wiktorya, wzór łagodności, ciszy i słodyczy charakteru. Otóż wśród tych osób rozgrywa się dramat mojego życia.

Rzecz dzieje się na wsi, w moim gabinecie do pracy, albo w ogródku kwiatowym. Na drugim planie widać kuchnię, z której wrzaski przeszkadzają mi pracować i marzyć — stodołę co mi nie daje chleba — i „Ojciec Niemen, pasterz mnogich łodzi" którego kryształowa fala niewyczerpanie udziela się do herbaty, co jej taką moc pochłaniam. Słowiki nadniemeńskie z towarzyszeniem chrapliwego chruściela śpiewają mi w antraktach. Oto ze wszystkiemi dekoracyami teatr, gdzie się mój dramat odgrywa. Kurtyna się zwija:

Sza!! uroczyste milczenie...
Patrzajcie zdumione ludy!
Oto poeta na scenie,
Zgarbiony, blady i chudy —

Ubrany w kapotę szarą,
Zwolennik myśli i ducha —
Pióro mu sterczy z za ucha,
W ustach groszowe cygaro,
Ręce krzyżuje u łona,
Pierś atramentem zbroczona...

Skinął i stanął jak wryty —
Wzniosła się orla źrenica,
Mierzy niebieskie błękity,
Gapi się w tarczy księżyca- —
Jak Hamlet, spojrzał ukosem,
Śmieje się, zżyma się, sroży,
Sza... coś zamruczał pod nosem...
O! arcydzieło utworzy!
Bije myślami światłemi
Szturm do nieba i do ziemi.

Cóż to? dlaczego twarz młoda
W fałdy gniewliwe się zbiera?
Rymu skalista przegroda
Wstrzymała pęd bohatera...
Chce mówić i głos podnosi.
Lecz mu coś więźnie we krtani —
Wieszcz się z końcówką tarmosi.....
Plaudite cives Romani!

„Oceniam szlachetne pobudki wdzięczności, któremi powodowany, nie chcesz, abyśmy z przekąsem o Rzewuskim mówili. Ale nigdy nie uwierzę, abyś miał podzielać jego religijno-socyalne zasady. Owszem, każdego, ktoby coś podobnego przedemną dowodził, wyzwę na ręką. Dla dobra Waszego Dziennika proszę, zaniechajcie wywoływać kwestyi „zadaniowych“, młodzież nie wytrzyma, wyrwie się z refutycyami, które zaprowadzą krytyków

tam, gdzie Antoni Sowa, wywołają prześladowania, jak te, których doznali nasi kijowscy Gwiaździarze. Mając za sobą *jus gladii* pytam, czy to delikatnie, czy sumiennie drażnić biedną zwierzynę, aby sama szła do siebie? Ile słyszałem o Was obu, nie wątpię, że pan August wywiera wpływ na hrabiego, niech go uprosi, aby nie igrał z powszechnem oburzeniem, dowodząc rzeczy, na które nikt się dziś pisać nie może. Składacie jedną redakcyę, wszakże pewnego rodzaju solidarna odpowiedzialność ciąży na wszystkich członkach ciała. Czy płodne, genialne pióro autora „Soplicy" nie może się zdobyć na co innego, jak na wiekuiste piosenki z „Bejlowskiego" tematu? Przebacz mi te uwagi, które idą ze szczerego serca, z miłości prawdy.

Żegnaj i kochaj mnie

Syrokomla.

Gdy Syrokomla list ten pisał, mąż mój już od półtrzecia miesiąca nie był współredatorem „Dziennika Warszawskiego".

W 1856 r. zażądał odemnie pan Seweryn Elżanowski z Paryża wiadomości o Władysławie Syrokomli, chcąc do *Revue contemporaine* podać jego życiorys i ocenę prac wszystkich. Przesłałam mu niektóre wyjątki z listów wieszcza i następującą notatkę Adama Pługa:

„Władysław Syrokomla Kondratowicz urodził się w ubogiej szlacheckiej rodzinie w Mińskiej gubernii, powiecie Słuckim, na Polesiu, w majątku Smalkowie, dnia 17 września 1823 r. Pierwsze nauki odbył w szkole powiatowej nieświeżskiej, utrzy-

mywanej przez księży Dominikanów, gdzie słuchając wybornego wykładu literatury u Szymona Czarnieckiego, od dziecka nabrał już ku niej zamiłowania. Od 1836 do 1842 r. uzupełnił dalsze kształcenie się w naukach rozmaitemi środkami, na jakie tylko mierny stan funduszów rodzicielskich dozwalał. W 1843 r. pracował jako biuralista w Nieświeżu, w głównym zarządzie dóbr księcia Wittgensteina, gdzie otoczony staremi zabytkami świetnego domu Radziwiłłów, zamiłował się w historyi i starożytnościach krajowych. W kwietniu 1844 r. ożeniony, przeniósł się na stały pobyt do majątku Załucze nieopodal od miasteczka Mira, i tu dzielił swój czas pomiędzy gospodarkę a literaturę, w której już jako pisarz zaczął występować z powodzeniem. Był współpracownikiem „Atheneum“, „Pamiętnika naukowo-literackiego“. W 1852 r. dotknięty stratą dzieci, opuścił Załucze, przeniósł się do Wilna, w okolicach którego dzierżawił wioskę Borejkowszczyznę“.

Napisałam do Syrokomli i doniosłam mu co uczyniłam. Na to odpowiedział mi:

„Borejkowszczyzna pod Wilnem
dnia 14 czerwca (1 lipca) 1851 r.

Serdecznie dziękuję za miły list Pani z dnia 12 b. m., który temi dniami otrzymałem przez księgarnię Zawadzkiego. Istotnie, adresowanie na jedną z księgarń wileńskich ułatwi zawsze dojście listu.

Dziękuję za przesłanie biografowi paryskiemu listu mojego do drogiej mi pamięci Augusta. Nie pamiętam, co wtedy doń pisałem o szczegółach wo-

iego życia, ale nie znając osobiście, takem dobrze znał mojego korespondenta, iż pewien jestem, żem przed nim musiał otworzyć całą duszę, list więc ów będzie dobrym materyałem. Od owego czasu (około lat czterech) w biednem tem życiu zaszły niewielkie, ale stanowcze zmiany. Dotknięty stratą trojga dzieci, które w jednym tygodniu pomarły, porzuciłem w 1853 r. Załucze, zkąd pisywałem do Państwa, a którego widok rozraniał co moment zbolałe serce — i przeniosłem się zrazu do Wilna, potem o dwie mile od stolicy Litwy, do małej dzierżawy; a tak mieszkając wpół na wsi, wpół w mieście, bojuję z życiem i jego materyalnemi potrzebami. Zarzuty, czynione mi przez gazeciarzy warszawskich, że pracuję pośpiesznie i drukuję wiele, są w znacznej części sprawiedliwe, ale położenie moje wkładające święty obowiązek utrzymywania trzech domów rodzinnych, znagla mnie do pośpiechu. Rodzice moi, skutkiem niegodziwości zarządu dóbr Wittgensteina, przyszli do zupełnego ubóstwa; zamężna siostra moja, otoczona dziatwą, także wymaga pomocy. Ja sam temu podołać muszę, z natury jestem bezładnie nieumiejący obchodzić się z groszem, a tu na Litwie, skutkiem kilkoletnich nieurodzajów, taka drożyzna, że trudno sobie dać radę. Muszę jak galernik, przykuty do taczki drukarskiej, pracować pośpiesznie, nie mogąc, jak Horacyusz, po dziewięć lat wygładzać mych utworów, bo toby znaczyło skazać na śmierć z głodu jedenaście osób mojej rodziny. Dosyć o tem! Na obrocie łączę spis rzeczy dotąd drukiem przezemnie ogłoszonych.

Znam ataki „Przeglądu Poznańskiego“, boć i do nas takie dochodzą nowiny. Ale co począć? To już kwestya zasad, których ani ja, ani Redakcya nie zmienimy. Cieszę się przynajmniej, że ludzie, co na mnie napadają, są ludzie światli i dobrej wiary. Że zatem ataki muszą sumiennie pochodzić z ich przekonania, nie, jak w Warszawie, gdzie polemika dziennikarska oparta na mirmidońskich punktach wyjścia, człowiekowi, co jeno Bogu duszę winien, zadaje dotkliwe ciosy. Bóg z nimi! artykuły w „Gazecie Poznańskiej“ czytuję niekiedy, bo gazeta lubo straszliwie cięta przez cenzurę, do nas dochodzi. Mamy w tym roku zbytek dawniej nie dozwolony, mamy „Czas“ krakowski, „Nowiny“ lwowskie, a do mnie przekrada się czasem „Szkółka Niedzielna“, której mi poczciwy Żupański dostarcza.

Miły symptomat objawia się tutaj, to powszechne zajęcie, jakie literatura obudza. W Wilnie mnoży się liczba księgarni, kilka drukarń w ciągłej pracy, piszący nie umierają z głodu, w literalnem znaczeniu wyrazu. Szkoda tylko, że nas tak mało, że koterye i koteryjki rozrywają nasze szczupłe kółko. O biedna naturo polska, kiedy duch scysyi przestanie bruździć w twej pięknej duszy!

Dziękuję za słówko współczucia o moich pieśniach. Nie wątpię, że są szczere te wyrazy, nie wątpię, że się rozumiemy z Panią, bo naszym wspólnym tłómaczem jest—cierpienie.

Szczęść Boże w zacnym trudzie! Dodawaj sił tak pożytecznie na wspólne dobro obróconych!

Cześć najwyższą, przychylność najżyczliwszą proszę przyjąć od

Wł. Syrokomli“.

„W ostatnim zeszycie „Cmentarza powązkowskiego" z radością dostałem portret ś. p. Augusta. Ale mnie zmartwił Moniuszko, który go znał dobrze, twierdząc, że portret niepodobny".

„Spis rzeczy ogłoszonych drukiem przez Władysława Syrokomlę:

„Gawęd i rymów ulotnych" tomów cztery (piąty pod prasą). Wilno, 1853—1856 r.

„Dzieje literatury", tomów dwa (trzeci pod prasą). Wilno, 1849—1850 r.

„Przekłady poetów polsko-łacińskich", tomików pięć, Wilno, 1851 r.

„Dziejopisowie krajowi" (Łasicki, Gorecki, Sobieski, Solikowski, Fredro) tomów 3. St.-Petersburg, 1856 r.

„Historya rewolucyi francuskiej", przekład z Poujonlat'a tomów 2. Wilno, 1850 r.

„Polska" przekład z Kromera tom 1. Wilno, 1854 r.

„Sen wieszcza", opera (przerobienie z francuskiego do muzyki Moniuszki), 1854 r.

„Margier" poemat z dziejów Litwy. Wilno, 1855 r.

„Córa Piastów" poemat z dziejów Litwy, 1855 r.

„Zgon Acerna" poemat, 1855 r.

„Dęboróg" gawęda szlachecka, 1853 r. Wydanie drugie, 1853 r.

„Chatka w lesie", dziwactwo dramatyczne w dwóch częściach.

„Hrabia na Wątorach" krotochwila, 1856 r.

„Janko Cmentarnik", gawęda ludowa, 1856 r.

„Wielki czwartek", gawęda ludowa, 1856 r.
„Stare wrota", poemat (pod prasą)".

W 1858 r. zjechał Syrokomla do Poznania. Pośpieszyłam, by go powitać i zawiozłam mu zeszyt „Przeglądu rzeczy polskich", wychodzący w Paryżu, w którym był zamieszczony jego „Wiersz na śmierć Adama Mickiewicza." Mówiliśmy dużo, dużo, i dowiedział się odemnie o śmierci pani Pietkiewiczowej, matki Adama Pługa, którą czcił jakoby własną matkę.

Dano w Bazarze obiad ku czci jego, na który dużo zebrało się osób.

Pozwolę sobie tutaj, dla zaokrąglenia, całości przytoczyć wiersz, którym do zebranych przemówił:

Gdy ziemię naszych ojców na troje rozdarto,
Gdy Wisłę rozdzielono z Wilją i Wartą,
Nie mogły w bratniej uczcie jednej Matki syny
Posypać sól Wieliczki na chleb Ukrainy.
Nie mógł brzęknąć przymierzem pobratany starem,
Puhar miodu kruszwicki z litewskim puharem.
Jak więźnie osadzeni każdy z innej celi,
Przez nieugięte kraty i przez grube ściany,
Nawet jęk nie dochodził, gdy brat był smagany.
Co się dzieje przy Warcie, przy Wiśle, przy Niemnie,
Tylko po bólu serca czuliśmy wzajemnie;
Tylko wiatr albo obłok jaśniejszej postaci
Przenosił pozdrowienie od braci do braci.
I gdyby nie ta wiara wspólnego kościoła,
I gdyby nie nadzieja co rozjaśnia czoła,
Gdyby nie wspólna mowa, która nas kojarzy —
Jużby bracia braterskiej zapomnieli twarzy.
Lecz nadto silny węzeł naszą dolę splata,
Po miłości ku matce rozpozna brat brata.
A jeśli bratni pielgrzym zawita z daleka,

Pewny go chleb gościnny, pewny uścisk czeka.
Nie rozerwą uścisku choć potrójne siły,
Nie rozdzielą granice, co wieki spoiły.
Stoję dziś między Wami, jak pielgrzym szczęśliwy,
Pozdrawiam leśny Litwin Wielko-polskie niwy.
Z rozrzewnieniem, jakiegom dawno nie doznawał,
Dziękuję Wam za chleba gościnnego kawał,
Za serca wielkopolskie do podziału skore,
Za cześć niezasłużoną, którą od Was biorę.
Dziękuję za wzruszenia, których mam tak wiele,
Zawiozę je na Litwę i z braćmi podzielę.
A gdy się Litwa dowie, żeśmy zawsze swoi,
Że jeden cel przed Wami i przed nami stoi;
Że w sercu mamy jedność, choć podział na karcie,
Myśl w myśli, zanim znajdzie w ramieniu podparcie,
Odnowi zapomniane Jagiełłów przymierze
I odżyje w miłości, nadziei i wierze.
Miły dla mnie dziś dola obowiązek kładzie,
Wznosząc dziękczynny toast na Waszej biesiadzie.
Niech przed Wami uczucie mych ziomków wysłowię,
Pijąc w imieniu Litwy, Wielkopolskie zdrowie!

Nazajutrz odwiedził mnie znowu. Był rozrzewniony, szczęśliwy przyjęciem Wielkopolan. I przyrzekł, że na dni parę do Siekierek przybędzie.

Miałam następnie od niego list z Miłosławia:

„Wczoraj otrzymałem list od Pani. Rumienię się za moją niesłowność, tembardziej, żeśmy przejeżdżali przez Kostrzyn, a więc blizko od Siekierek. Ale zajechanie nie zależało odemnie, a prawdę mówiąc nie chciałem tylko być mimojazdem, ale umyślnie i na dłużej przyjechać. Wyjeżdżamy do Gniezna pojutrze, bo jutro mam zwiedzić w Winnogórze grób Dąbrowskiego. Wracając z wycieczki najmi-

lej dopełnię obowiązku bytności w Siekierkach. O dniu z drogi napiszę.

Ze czcią całuję rączki Pani

Wł. Syrokomla."

Potem — już dzień oznaczył, w którym miał przybyć. A potem te słów kilka otrzymałam z Poznania:

„Człowiek sądzi, Bóg rządzi! — Wypadek na Lednogórskiem jeziorze nabawił mnie febry. Chory nie mogłem do Siekierek wstąpić i z żalem znowu przejechałem mimo.

Wybacz, droga Pani, i połóż to wszystko na karb fatalizmu, który ściga mnie wszędzie i ciągle. Już to taką snać jest dola Dziatwy Homerowej.

Ta sama dola-niedola w dalszą popycha mnie podróż.

Przecie — może— kiedy jeszcze zobaczymy się znowu! —

Ze czcią serdeczne ucałowanie rączek

Wł. Syrokomla".

Wiersz Wł. Syrokomli nadesłany mi do mojej książki pamiątek, a zamieszczony w „Snopku literackim" czyli „Wiązance":

HOMEROWA DZIATWA.

Boże mój, Boże! jak to poecie
Nudno i trudno żyć na tym świecie;
On braci kocha, ufa bez granic,
W ich sercach rymu do serca szuka,
A dobrzy ludzie mają go za nic,
Bo zwieść poetę nie wielka sztuka!

Przecież go każdy zwodzić ochoczy,
My tacy prości a oni biegli,
Więc na złość światu! — zamknijmy oczy,
Udajmy, żeśmy nic nie dostrzegli,
Niech zwodzi przyjaźń, zwodzi niewiasta,
Niechaj spekulant jak chce odziera, —
Ślepym był Homer nasz protoplasta —
Więc bądźmy ślepi — na cześć Homera!

Adam Pług.

Blizko dworku, w którym Władysław Syrokomla dzień ujrzał, była wioska Żukowy Borek, należąca do państwa Pietkiewiczów. Z młodszym ich synem Antonim, mały Władysław podrastał: częste z sobą spędzali chwile, bo rodzice w szczerej, sąsiedzkiej żyli przyjaźni—dzielili dziecinne zabawy, kochali się jak bracia i przyjaźń ta pozostała im na zawsze.

Rówieśnicy i później, ręka w rękę, szli jednym szlakiem, zbierając kwiaty, kłosy i ciernie na niwie ojczystego piśmiennictwa. Władysław Kondratowicz jako Syrokomla pozostał na rodzimej Litwie. Antoni Pietkiewicz jako Adam Pług na Podolu zamieszkał.

Wskutek literackich stosunków zawiązała się nasza i z Adamem Pługiem korespondencya, która następnie ze mną lata potrwała, dopóki jej rok 1863 nieszczęsnemi wypadkami nie przerwał. Przytoczę tutaj kilka z listów jego ustępów, rzucających o nie-

jednem wiadomość, krótkie niekiedy bardzo, ale potrzeba było uwzględniać wiele i na różne zważać okoliczności.

„Dżuryn, 21 stycznia 1851.

Teraz nie wątpię, że na Nowy Rok odebrałem choć jedno szczere powinszowanie spełnienia życzeń, bo właśnie w tej chwili skutku tego doświadczam, otrzymując tak mi pożądane listy Państwa, i to we trzy tygodnie po ich wyjściu z Warszawy!! [1]) Nie jestże to pomyślność? Dzięki więc, dzięki tym dobrym życzeniom, które mi sprowadziły list Pani, zawierający najradośniejszą nowinę o powrocie pana Augusta z Zamościa! Ślę mu uścisk serdeczny i podziękowanie za miły przypisek.

„Athenaeum" nie upadło i nie upadnie. Pomimo całej zgrai niechętnych. Jedyny to organ w tych stronach. A przeciwnicy nie wiedzą co czynią. Jeżeli „Athenaeum" upadnie, przypisać należy winę całą nieszlachetnym koteryom.

Razem z listem Pani otrzymałem listę od redaktora „Wiązki", w którym mi donosi, że musi złożyć redakcyę, bo sam niepewnym jest swojej przyszłości, a nawet swojego jutra. Dodaje, że pan Kostrowiec pracuje nad sformowaniem potężnej opozycyi obecnemu postępowi, i pisał do Ignacego Chodźki, wzywając go na poplecznika, bo chce koniecznie powściągnąć zuchwałość młodzieży!!!..."

---

[1]) Odbierałem listy z Dżuryna, Mohilewa, Tulczyna, na Memel, Tauroggen, po kilku dopiero tygodniach.

„Dżuryn, 18 kwietnia 1851.

„...Rzewuski „Teofrastem" swoim nas oburzył. Zasady w tem piśmie zawarte pokazują jawnie, że pan hrabia, pewny bezkarności, lekceważy wszystko i wszystkich, i zuchwało depce największe świętości nasze. Dość Pani przypomnieć, że szlachectwo ma być instytucyą czysto katolicką, że szlachcic cnotliwy dlatego, że szlachcic, a mieszczanin, jeżeli się zdarzy cnotliwy, to pomimo to, że mieszczanin i t. d.

Wypadki wileńskie muszą być państwu znane. Z podziwieniem się dowiaduję, że „Wiązka" nasza ma się ukazać, bo podobno wszystkie pisma peryodyczne lub mające takowych cechę, zupełnie tu zakazane zostały, tylko „Athenaeum" dalej wychodzić będzie. Oprócz „Pamiętnika" i „Jordana" skonfiskowano tu jeszcze „Grosz wdowi", „Pisma Protasza", trzeci tom „Bigosu hultajskiego"... a ztąd „Sapienti sat". Ale dosyć już tego, bo mi serce się kraje na myśl, jak okropne skutki pociągnęła za sobą protestacya opinii publicznej, której organem była „Gwiazda"! Pochód literatury w prowincyach naszych może na długo, bardzo długo zatamowanym został, bo przepisy cenzury nad wszelki wyraz posrożały. A co smutniejsze, dawni zwolennicy „Gwiazdy", po jej nieszczęśliwym upadku, całą dziś winę na nią zwalają, uznając ją za główną przyczynę obecnego stanu rzeczy!... Dość tego! dość tego! Bo płakać będę jak dziecię, choć nie dziecinnemi łzami"!

„Po smutnych wypadkach z naszymi literatami i pismami zbiorowemi, egzystencya „Athenaeum"

jest nam więcej, niż potrzebną — i nie można dosyć się nacieszyć, że pomimo zabiegów nieszlachetnych nieprzyjaciół, przynajmniej materyalny byt jego zapewnionym został. Jest ciało, ale potrzeba duszy.

Panu Au. Wi. najserdeczniej za pamięć dziękuję i przesyłam mu wzajemne z całej duszy pozdrowienie. A obojga Państwa najpokorniej upraszam o niezrywanie, a raczej o nieostyganie w stosunkach z nami. Upraszam o to w imię powszechnego dobra!... I pewny jestem, że korespondencya zawiązana z nami przy „Wiązance" już się nie przerwie, że się stanie z czasem nieodbitą potrzebą dla serc poczciwych.

Najżyczliwszy

A. Plug".

„Dżuryn, 8 marca r. 1852.

„...Za obietnicę dla mojego „Kwestarza" jaknajserdeczniej dziękuję! Celem tegoż jest zbieranie, choćby przez lat kilka, jakiego takiego funduszu na pomocniczą sumę do redagowania obszerniejszego, zbiorowego pisma, któreby było organem prowincyi naszych. Byleby tylko szanowni literaci nie odmówili swojego współudziału. Pewny jestem, że Pani raczysz namówić swoich warszawskich znajomych do uczestniczenia w mojem przedsięwzięciu, z którego postaram się wywiązać z taką sumiennością, jaką natchnąć może najczystsza miłość świętej sprawy, której całe swe życie i wszystkie siły poświęcić postanowiłam. Syrokomla, kochany mój Syrokomla już dłoń braterską mi podał: mam od

niego prześliczną gawędę „Ksiądz definitor“ której wyjątek był drukowany w „Bibliotece Warszawskiej“.

„...W Kijowie na kontraktach sto tysięcy dusz było wystawionych na sprzedaż — ale kupujących nie było — chociaż cena zniżyła się o dwadzieścia kilka dukatów“...

„Niemirów, 16 czerwca 1852.

...Jakże mam dziękować za pamięć o moim Kwestarzu? Wyrazić nie zdołam! I jak byłbym szczęśliwy, gdyby mi los zdarzył sposobność przekonania Pani, że umiem być wdzięcznym.

Urocza postać Hanny będzie jedną z najmilszych ofiar w skarbonce Kwestarza.

Anegdotka Au. Wi. jest dla mnie relikwią świętą — której pragnąłem nad wszelki wyraz, nie śmiejąc odezwać się z prośbą do Pani, by nie zranić Jej serca podobnem żądaniem—by nie sprofanować świętości żalu“...

„Dżuryn, 21 września 1852.

„...Co do mego Kwestarza, ten coraz więcej szacownych skarbów na swój wózek gromadzi. Już nawet Chodźko i Odyniec raczyli go obdarzyć. Ale, niestety, wątpię czy z tych ofiar wzniosę projektowaną świątynię pokoju! — Nikt mnie w tym względzie oświecić nie może. Ale podobno, że nam w tutejszych prowincyach niewolno wcale wydawać pism zbiorowych. Niedawno Buszczyński, znany pod pseudonimem Strzemieńca, ułożył pismo zbio-

rowe p. t. „Niwa rodzinna" i posłał Ungrowi do druku. Ten oddał je do cenzury w Warszawie, a ztamtąd zawędrowało do Kijowa, zkąd już pono nie wróci!"...

„Dżuryn, 20 grudnia 1852.

...Co do mego „Kwestarza", dotychczas nie wiem, jaki los go spotka. Pisałem do ks. Hołowińskiego, prosząc o opiekę, bo cenzura wileńska ostatniemi czasy otrzymała stanowczy rozkaz, by żadnych pism nie przepuszczać. Ks. Hołowiński, gdy zechciał, mógłby temu zaradzić, ale prawie pewny jestem, że albo mi nic nie odpowie, lub też poradzi szukać pomocy u Rzewuskiego — od czego zachowaj mnie Boże! — Trzeba więc będzie udać się do Lipska— i na ryzyko wszystko postawić, gdyż bardzo być może, że ztamtąd Kwestarza do nas nie wpuszczą!

Biedny mój Syrokomla srogim dotknięty ciosem: Bóg mu zabrał troje dziatek w przeciągu dni kilku do chwały swojej. Wyjechał z domu, bo nie mógł wyżyć pod tą strzechą, gdzie mu wszystko tak żywo przypominało ów raj, ożywiony trojgiem aniołków, na zawsze stracony!".

„Dżuryn, 31 stycznia 1853.

„...Jakem przewidział: ks. Hołowiński odpowiedzieć nie raczył, a Bartoszewicz przesłał mi przestrogę, abym się w tamtejszej cenzurze ani pokazywał z moim Kwestarzem, gdyż ona źle o tym zbiorze uprzedzona. — Liczyłem na Wolfa, ale i ten nic *dobrego nie wróży*, zatem wszystkie drogi przecię-

te. Ostatni ratunek drukować za granicą. Ale tam żadnych nie mam stosunków i nie wiem jakby rękopis przesłać. A przytem co ztąd za korzyść dla kraju, dla naszej publiczności, że w rok po ułożeniu ten zbiorek się wydrukuje — a w rok po wydrukowaniu do rąk się dostanie — i to jeżeli się dostanie!"

„Dżuryn, 26 marca 1853.

„...Syrokomla ma zamiar przy „Kuryerze wileńskim", wydawać feljeton literacki, w czem mu protekcyą swoją pomaga tamtejszy gubernator, który już nawet przedstawienie do ministra w tym celu posłał. Bo dziś, chcąc wydawać pismo zbiorowe, trzeba naprzód uzyskać od miejscowej władzy świadectwo o sposobie myślenia oraz o użyteczności projektowanego dziennika. To świadectwo razem z listą kollaboratorów posłać gubernatorowi, który to wszystko wraz ze swojem przedstawieniem prześle ministrowi oświaty, który nareszcie poda do zatwierdzenia cesarzowi!! — Przez wszystko to chętniebym przeszedł dla mojego Kwestarza, ale że Stefan Buszczyński, obywatel podolski, ma zamiar także wydawać pismo zbiorowe, na które już wiele starań i kosztów łożył — ja cofam z planu mojego Kwestarza, a raczej chcę się połączyć z panem Buszczyńskim i jedno z nim pismo wydawać.—W tych dniach wyglądam go u siebie. Mamy ostatecznie naradzić się, jakie przedsięwziąć kroki, a o skutku naszych starań zawiadomię Panią, i w razie, jeżeli nam projekt się uda, będę upraszał o pomoc w przedsięwzięciu naszem: — o zachowanie dla Podolanina

tej sympatyi, jaką Pani Kwestarzowi okazać raczyłaś.

Bazgraniny moje przezwałam „Rodzinnym zagonem". Za godło wziąłem ustęp z mojej gawędy „Żukowy Borek":

Jak ten dąb przy naszej chacie
Duch i ciało wziął z tej ziemi,
Tak ja z duszą, tak ja z ciałem
Ztąd wyrosłem bo ta gleba
Krew i kości dała moje,—
Myśli moje, uczuć roje—
Bóg mój wielki z tego nieba.

„Dżuryn, 9 maja 1853.

„...Z Buszczyńskim widziałem się. Przyjeżdżał do mnie umyślnie, i postanowiliśmy kołatać do ministra o pozwolenie na wydawanie dziennika.

Syrokomla, który stale zamieszkał w Wilnie, ma wszelką nadzieję wydawania feljetonu (tylko po polsku!")...

„Dżuryn, 19 czerwca 1853.

„...Posłałem Bartoszewiczowi obszerną replikę na list Grabowskiego o Syrokomli, drukowany w „Gazecie codziennej". Ale nie wyszła z łaski cenzury, która ostatecznie, nie pozwala ganić pana Michała— a chwalić Syrokomli.

„...Wielką zasługą tej gazety jest wywołanie Michała Grabowskiego do czynnego, literackiego życia, bo, pominąwszy zasady, jest to mąż wielkiej nauki i wytrawnego sądu, i śmiało rzec można, że u nas on tylko jeden rozumie, jak należy recenzye

pisać. Dotąd umieścił zdanie o „Gawędach" Syrokomli i o stanowisku powieści wspomnieniowo-historycznej. Oba te listy napisane wybornie, ale w obu zastarzałe przesądy, stara przyjaźń lub stara nienawiść przeważnie wpływa na zdanie i wszystko psuje. Tak np. pamiętne Gawędy, za nią znienawidził całe młode pokolenie zaniemeńskich pisarzy, a przynajmniej wszystkich podciągnął pod wybryk demagogii, podżegaczy, nieokrzesanych nieuków i tp. Syrokomlę nibyto ułaskawił, lecz za to, że go Gwiaździarze pod niebiosa wynoszą, on musiał zganić i odmówić tych zalet, które mu tamci przyznają: zarzucił tedy demagogię, brak prawdziwego uczucia, prostoty i naturalności. Mówiąc o powieści historycznej, Rzewuskiego zrobił jakimś Mesyaszem w dziedzinie literatury, i napisał całą jego Genesis. A starego swego przyjaciela, Bujnickiego, postawił prawie na równi z Kaczkowskim w jednym rodzaju; a na równi z Kraszewskim w drugim, dodając jeszcze w tym ostatnim (obyczajowym) za kolegę Kostrowca z jego Rachelą. Kaczkowskiego stawia najwyżej, w czem mu zupełną słuszność przyznaję. Dobrze też wyrzekł o „Zaporożcu", że jest smutnym dowodem, jak głęboko może upaść najogromniejszy talent.— Z tem wszystkiem cieszyć się należy powrotowi Grabowskiego do literackiego życia, bo chociaż nie można wystąpić z nim do walki, choć na wsteczne zarzuty odpowiedzieć nie sposób, rozprawy jego dla wielu będą bardzo pożyteczne"...

„Dżuryn, 12 grudnia 1854.

„...O Deotymie, musisz Pani wiedzieć od Bar-

toszewicza. Wiele było z jej powodu hałasu, gdy z przesadnych uwielbień pióra wpadły w drugą ostateczność, za przykładem Prusinowskiego. Wmięszano i mnie w tę sprawę. Fisz (Padalica), zacytował niewłaściwie moje zdanie, przesłane mu w liście prywatnym, a wyrzeczone bez ogródki... Musiałem się tłomaczyć i obszerniejszy artykuł do Gazety posłałem.—Po Deotymie druga sprawa, która nie mniej świat literacki zajmuje, jest to spór o Kaczkowskiego, wywołany przez Marcinkowskiego. Zarzucał on jego powieściom, że są czysto szlacheckie i domagał się ludu. Ja, w liście moim do Fisza odpowiedziałem na to, że i przeszłość nasza była czysto-szlachecką. Fisz, pisząc do mnie przez „Gazetę Warszawską", zacytował i to moje zdanie, stając przy Marcinkowskim. Bartoszewiczowi dało to powód do kilku rozpraw bardzo gruntownych, w których historycznie rozwija zgodne z mojem twierdzeniem. Marcinkowski ze swojej strony napisał także obszerną rozprawę o romansie historycznym, domagając się Walter-Skotyzmu, w którym ideał swój widzi. Do tego jeszcze przyłączyła się szkolno-żakowska o wyższość umysłową, do czego dał powód Fisz w liście do mnie pisanym, odpowiadając na zarzuty p. K. T. uczynione Marcinkowskiemu za błędy gramatyczne, i rzekłszy nierozważnie, że my, mieszkańcy dalekiej Rusi, uczymy Warszawian myśleć, dajemy im pisarzy i poetów, a oni uczą nas gramatyki. Bartoszewicz podjął rękawicę i wsiadł na Ukraińców. Lewestam skarcił nas wszystkich, pisząc o moim „Zagonie". Fisz

ustąpił z placu, a jego miejsce zajął Marcinkowski, i na tym się skrupiło".

„Dżuryn, 20 marca 1856.

„...Syrokomla ma zamiar wydawać pismo zbiorowe p. t. „Barcie", przy pomocy naszych najpierwszych pisarzy. „Kęs chleba" i „Chatka w lesie", Syrokomli wielką cieszą się wziętością—jak i w ogóle wszystko, co nasz drogi wieszcz wyśpiewa. Teraz pisze poemat „Stare wrota", z czasów Zygmuntowskich.— „Mohort" Wincentego Pola z niesłychanym był przyjęty zapałem. Natomiast zrobiły „Wnuczęta" Kaczkowskiego ogromnego fiasco... z powodu wstecznej dążności, chociaż krytyka nie miała odwagi wystąpić"...

(A jakież w powieści „Wnuczęta", dwie przepiękne są postacie: stary Dęboróg i Racibor!)

„...List mój już doszedł do olbrzymich rozmiarów, a jeszcze tyle rzeczy miałbym Pani powiedzieć! Boję się tylko, abym nie spóźnił się na pocztę, bo radbym jaknajrychlej pisanie to wyprawić, by co rychlej odpowiedź Pani odebrać, za kilka bowiem tygodni mam zamiar wyruszyć do moich rodziców na Litwę, gdzie już lat czternaście nie byłem! — W roku zeszłym już nawet konie były gotowe do drogi, lecz grób przyjaciela mojego stanął mi nieprzebytą przepaścią. Dziś znowu tysiące przeszkód plącze mi moje projekta, ale na nic nie zważam, bo taka ogarnia mnie tęsknota, taką czuję potrzebę, by na czole mojem spoczęły z błogosławieństwem dłonie rodziców, że przez płomienie

rzucić się gotowym po to szczęście, o którem dzień i noc marzę. Mam prześliczne zamiary. Z domu chcę dotrzeć do Wilna, uścisnąć Syrokomlę, poznać Odyńca, Chodźkę, Malinowskiego, Moniuszkę, Balińskiego (Michała), a może nawet Tyszyńskiego i inne nasze znakomitości litewskie, i u Ostrej Bramy podziękować Bogarodzicy za błogosławieństwo w szczęśliwie odbytej pielgrzymce, i poprosić o nowe już na wieczne tułactwo, bo pewnie po raz drugi ani drogiej rodziny, ani drogiej Litwy mojej nie ujrzę. Na pociechę uniosę z sobą tylko:

Drogich skarbów pełną skrzynię—
W cztery deski jedlinowe
Zbiór zerwanych przy rodzinie,
Na wieczysty sen pod głowę;
Garstkę piasku na powieki;
Świętej wody z Niemna rzeki,
Co łezkami przeczystemi
Grób mi zrosi w obcej ziemi!...

Przed wyjazdem radbym jeszcze miał wiadomość od Pani, którą niewątpliwie wczas jeszcze odbiorę, jeżeli Pani raczysz zaraz po otrzymaniu tego listu odpisać"...

„Dżuryn, 23 listopada 1856.

„W lipcu przed wyjazdem moim do Litwy, otrzymaliśmy list Pani, odpisałem niezwłocznie, prosząc wzajemnie o odpowiedź do Wilna na ręce Zawadzkiego. Ale to moje pisanie musiało gdzieś zaginąć, bo ani w Wilnie nic od Pani nie miałem, *ani tu, za powrotem,* nie odebrałam. Cięży mi bardzo *ta niesumienność* poczt naszych...

Z Litwy powróciłem 24 października, bawiłem więc w podróży blisko czternaście tygodni, czemu z trudnością przychodzi uwierzyć, tak krótkim ten czas mi się wydaje! — W domu rodziców zastałem wszystko pomyślnie, a łatwo Pani pojmiesz, ile tam było dla nas radości.

Zabawiwszy tam parę tygodni, musiałem wyruszyć do Wilna. Odebrałem bowiem wiadomość od Syrokomli, że za dni kilka ma zamiar wyjechać do Warszawy, a że mi wiele na tem zależało, abym się z nim obaczył, udałem się w drogę niezwłocznie. Między Wilejką, a Smorgoniami zboczyłem mil parę, aby powitać przezacnego autora „Obrazów litewskich", Ignacego Chodźkę, mieszkającego trzy mile od Wilejki w majątku swoim Dziewiętniach. Wszystko tu znalazłem odpowiedniem moim marzeniom: dwór ze starym włoskim ogrodem, stawek z młynkiem szumiącym, i lamus, wędlarnię litewską, a co najważniejsze, stare litewskie obyczaje i cnoty: niezrównaną gościnność, serdeczność, prostotę obyczajów, słowem jota w jotę jak w tych „Obrazach", które przystały do serca narodowi całemu.— Chodźko ma dzisiaj (1856), sześćdziesiąt z górą, ale dość czerstwo wygląda; wiele ma świeżości w ogólnym wyrazie fizyonomii, w ruchach i w mowie, pełnej zawsze naturalnego dowcipu i młodzieńczego zapału. A ma o czem mówić towarzysz Adama, Zana, Czeczota, Odyńca, Korsaka i innych— brat Aleksandra i Leonarda (obu stryjeczny), potomek wreszcie zacnej szlacheckiej rodziny, od dwóch już wieków zamieszkały w jednej okolicy.— *Namawiałem go usilnie*, aby się zajął spisaniem swoich

niewyczerpanych, a tak zajmujących wspomnień, i zdaje mi się, że mnie usłucha. — Rodzina jego w domu składa się dzisiaj tylko z żony, jej siostry, a czasem córka jedynaczka, przybywszy do Dziewiętni z mężem i z trojgiem dziątek, zostawia te na parę tygodni na pociechę staruszków. — Chodźko, prowadzi życie bardzo czynne: urzęduje, gospodaruje, czyta wiele, pisze w chwilach odpoczynku. Teraz ma zaczęte dwie powieści: „Jesień w klasztorze" i „Dwaj pustelnicy"; a niedawno oddał do druku „Dwie konwersacye szlacheckie", z których jedna już się dawniej drukowała w Gazecie. Wiele też mu czasu zabierają sąsiedzi, bo jest powszechnie kochanym i szanowanym, żaden więc zjazd bez niego obejść się nie może, a jego dworek często gośćmi się roi.

Wspomniałem pani o starym włoskim ogrodzie. Jest tam prześliczna lipowa altana, zasadzona jeszcze ręką prababki pana Ignacego i tem jeszcze pamiętna, że w jej cieniu nieraz nasz Adam siadywał. Jest tam i kamień zaklęsły już w ziemię, pod którym czterej przyjaciele na pamiątkę swej drużby złożyli w butelce kartkę pergaminową z imionami swojemi, byli to: Chodźko, Korsak, Mickiewicz i Odyniec, a dwaj z nich już sami legli pod głazem grobowym. Korsak zostawił w rękopiśmie tłomaczenie „Boskiej komedyi", które ma być prześliczne. Nareszcie są w tymże ogrodzie trzy piękne brzozy, które wraz z czwartą, dziś już zwaloną, dźwigały piękny krużganek, przezwany Helikonem, na którym Odyniec oświadczył się o rękę swej żony, siostry pani Chodźkowej. Ale darmobym chciał

Pani wyliczyć wszystkie pamiątki w Dziewiętniach. Muszę tylko wspomnieć jeszcze o jednym szczególe, jako należącym do charakterystyki autora „Obrazów literackich". Ów lamus czyli też skarbiec, o którym wyżej wspomniałem, budynek drewniany o piętrze, mający na dole i na strychu skład gospodarski, przez całą wiosnę i lato służy Chodźce za ulubioną pracownię literacką: tutaj w izbie obszernej, niebielonej, między skromnemi sprzętami domowej roboty, stoi ów stolik, na którym przeszły na papier „Brzegi Wilii", „Wyklęty", „Milanowski", „Pamiętniki kwestarza" i t. d.

Lecz pora mi już opuścić te święte progi, gdzie tyle spotkałem dobroci, tyle współczucia, jak gdybym się znajdował w najdroższem gronie rodzinnem. Pożegnany z serdecznem rozrzewnieniem, tegoż jeszcze wieczora dostałem się do Borejkowszczyzny (14 wiorst od Wilna) i padłem w objęcia Syrokomli..."

„15 grudnia 1856.

Skutkiem rozmaitych przeszkód, trzy tygodnie czekało to pismo na dokończenie. Czekałoby może dłużej, ale czuję się w obowiązku odpisania na list Pani, który odebrałem właśnie, a który mi tyle prawdziwej przyniósł przyjemności. Odkładając zatem nadal ciąg dalszy mojej „Odysei", śpieszę z odpowiedzią!

Najpierwej tedy co do Syrokomli. Zastałem go na wyjezdnem do Warszawy i pomimo kilkakrotnej mej prośby i oświadczenia, że trzymając się

dat i faktów przez niego podanych, sam skreślę jego życiorys wraz z rozbiorem wytycznym wszystkich pism jego i wykazaniem zacnych dążności, nie mogłem go uprosić, aby uczynił zadość moim żądaniom. Śród przygotowań do podróży, znalazła się zawsze jakaś przeszkoda i od dnia do dnia odkładając, sianem się wykręcił. Zapewne sam Pani prześle żądaną notatkę...

„Do Warszawy jeździł Syrokomla wskutek propozycyi pana Łubieńskiego, aby się zajął redakcyą „Gazety Codziennej". Ofiarowano mu za to 2,000 rubli sr. rocznie, ale wszyscy życzliwi odradzali mu tej umowy, bo redaktorstwo i to jeszcze pisma codziennego, byłoby zabójstwem dla jego talentu. Co zaś do zysków, poetyczne jego utwory, o które się tłumem dobijają księgarze, bez porównania więcej mu przynoszą. Chcąc zaś redakcyę sumiennie prowadzić, nie wieleby miał czasu dla swej Muzy. Ani więc sam niby na tem nie zyskał, ani ogółowi korzyściby nie przyniósł, owszem, obie strony moralnąby szkodę poniosły. Nie koniec na tem, obejmując redakcyę „Gazety Codziennej", której upadek tak jest pożądanym dla jej współzawodników, i która ostatnią deskę zbawienia widziała w jego sympatycznem imieniu, ściągnąłby nienawiść, zemstę nieszlachetnych koteryi, których pociski rychłoby nadwyrężyły tę wielką miłość, jaką dziś współbracia mają dla Syrokomli i życie jego przepełniłyby goryczą tylko i zawodem. A jeszcze nie koniec: gazeta nie wieleby na tem zyskała, bo Syrokomla nie tylko w pieśni, ale i w życiu jest poetą, nie takim, jak go dziś pojmujemy, jakiego

dziś potrzeba, ale jakim go jeszcze Kraszewski malował. Dzień do dnia, godzina do godziny u niego nie podobna, niemiecka regularność i systematyczność to rzecz nie jego: ciągła, urzędowa praca to dlań zabójstwo! Nie podołałby więc przyjętemu zobowiązaniu. Wszystkośmy to przedstawili naszemu ukochanemu wieszczowi i stanęło na tem, że pojedzie do Warszawy tylko dla obejrzenia pozycyi, a postąpi, jak lepiej będzie. Ależ się okazało, żeśmy mieli słuszność, bo sam spostrzedz musiał, że redaktorstwo nie dla niego... Ale też i dzisiejsze miejsce pohytu nie dla niego. Najlepiejby zrobił, gdyby się oddalił od Wilna... które dziś bez ustanku wyciąga go z Borejkowszczyzny i wiele chwil drogich najszkodliwiej zabija. Dzierżawa to niewielka, przy poetycznym zawodzie najmniejszego zysku nie przynosi, a życie rozproszone pochłania i grosz z natchnienia i samo natchnienie! Bawiłem z Syrokomlą dni osiem, z których część w Wilnie. Mieliśmy jechać razem do Chodźki, a ztamtąd do moich rodziców. Ale że ja musiałem zboczyć z drogi dla interesu i nadspodzianie dłużej zabawiłem, przyjechawszy do Dziewiętni już nie zastałem tam Syrokomli, który, nie znalazłszy Chodźki w domu, ruszył prosto do Mińska, zostawiwszy tylko wieść o sobie na piśmie".

Potok (przez Winnicę, gub. Podol.)
4 listopada 1857.

„...Brat mój Stanisław pisze mi, że miał szczęście poznać się z Panią w swojej podróży za granicę, musiał więc Pani mówić o tej ważnej zmia-

nie, jaka zaszła w mem życiu... Tak, Pani, od czterech miesięcy jestem żonaty, jestem mężem, i po długich latach mam wreszcie szczęście prawdziwe. Życie serdeczne, dotąd bezbarwne, bezcelowe, zyskało wdzięk nowy i wagę. Z nowemi obowiązkami, nowe siły dusza znalazła, słowem, jakobym się raz drugi, gdzieś w doskonalszym, od naszego świecie doskonalszą istotą narodził. I słowo w słowo zastosować mogę do siebie to, co Henryk w Chatce w lesie powiada:

„Ja byłem stary... byłem bardzo stary...
—śród bolesnych doświadczeń, wśród cierpień bez miary,
Za życia kamień grobu już czułem nad głową; —
Ona tylko spojrzała... jam odżył na nowo,
I odrzuciłem wszystkie moich cierpień roje,
I powagę lat moich i marzenia moje!..."

Daruj mi Pani, że tak wiele o sobie mówię: winna to moja wielka wiara w dobroć Twego serca i pewność, że się Pani mojem szczęściem ucieszysz. Otóż nasamprzód przygotowania do ślubu, urządzenie domu, odwiedziny daleko mieszkających krewnych i t. p., nie dawały mi prawie ani jednej chwili wolnej. A gdy się trochę osiedziałem, musiałem wziąść się do płacenia moich literackich długów, pokończyć pozaczynane a przyrzeczone rękopisma... Do prac tych zaliczam i „Wspomnienia" mojej wycieczki na Litwę. Pani zaś utwierdziłaś mnie w tem przekonaniu, ogłaszając uprzejmie ustęp [1]) z mojego listu o Chodźce...

---

[1]) W odcinku „Czasu" krakowskiego.

W Mińsku oglądałem świat obywatelstwa litewskiego na wyborach szlacheckich. W Słucku wspominałem lata dziecinne w gronie starych swoich nauczycieli i poczciwych szkolnych kolegów. W Żytomierzu nareszcie z Kraszewskim, w jego domu, kilka godzin przegwarzyłem serdecznie.

Od wczoraj dałem pokój literackim zajęciom. Wysławszy bowiem mniej więcej do wszystkich redakcyi po artykule, postanowiłem wyłącznie choćby przez cały tydzień korespondencyi się oddać, bo mi na sumieniu kamieniem ciężą, odpowiedzi zaległem. Pani zaś przed wszystkimi!

Cieszyliśmy się pozwoleniem od rządu na „Tygodnik Wileński", w którym współpracownictwo przyjęli: Baliński, Bartoszewicz, Chodźko, Kraszewski, Korzeniowski, Narbut, Odyniec, Pług, Syrokomla, Tomaszewicz, Malinowski, Trentowski, Wójcicki i wielu innych. Ale w wigilię ukazania się pierwszego numeru, wyszedł interdykt i z biedą uzyskaliśmy Imprimatur na „Tekę Wileńską", która w sześciu zeszytach ogłasza materyały zebrane dla ś. p. „Tygodnika". Daremne były nasze piękne projekty, daremnie odbyło się pierwsze posiedzenie redakcyi, a raczej solenne jej otwarcie na obiedzie u Kirkora, gdzie zamiast szampana, stary miód do toastu nalano, a Syrokomla tak zaimprowizował:

Rodzinne pismo niechaj się powita
Hucznym toastem rodzinnego miodu;
Ożywcza własność w tych kroplach ukryta,
Niegdyś pierś grzała naszego narodu.
Niechże i dzisiaj swej mocy nie traci,
Doda nam hartu na przysługę braci:

Niechaj Bóg wleje w każde nasze słowo,
I ciepło życia, i słodycz miodową,

A zresztą nic nowego, bo o balu, którym obywatelstwo podolskie, kijowskie i wołyńskie witało w Kijowie Najjaśniejszego Pana nic szczególnego donieść nie potrafię, chyba tylko tyle, że nieprzywykłe do spotkania głów koronowanych, głowę straciło i znaleźć się wobec dostojnych gości nie umiało. *Ex publicis* głoszą o uwolnieniu chłopów na r. 1860. Ale w jaki się to sposób odbędzie i na jakich zasadach, nic o tem nie wiemy. Tymczasem wolno każdemu obywatelowi wejść w dobrowolną umowę ze swoją włością i zawartą ugodę oddać pod zatwierdzenie rządu..."

Potok pod Winnicą, gub. Podolska
z listopada 1858.

„Znałem w Litwie niejakiego pana Rejtana, człeka bardzo zacnego, ale nie spełna rozumu, którego idea fixa była w tem, że wszystkich ludzi uważał za zaklętych. Zaklęcia były rozmaite: ten był zaklęty na szulera, ów na utracyusza, inny na szachraja, inny na spekulanta i t. p. Śmieli się z niego i ja śmiałam się z niemi, gdy wyrzekł, żem zaklęty na bakałarza. Otóż dziś, po szesnastu leciech, człek ów za waryata powszechnie miany, widzi misię psychologiem głębokim, który odrazu umiał przejrzeć głąb ludzkiej duszy, odgadnąć fatalność jej natury. Dowód zaś tego najlepszy mam we mnie samym, bo pomimo wstrętu całego do nauczycielskiego zawodu... zwolnić się od tegoż nie potrafię. Osiadł-

szy niby na własnem swojem gospodarstwie i we własnym domu, nie byłem przecież wolny od owego zaklęcia, zajmując się nauką mego pupila, sieroty po przyjacielu. A później niepomyślny obrót interesów i straty zmusiły mnie szukać więcej elewów... I otóż zostaję pod owem zaklęciem... Mam bowiem zamiary na wiosnę wyjechać do Żytomierza lub do Kamieńca, w celu założenia męzkiego pensyonatu.

. . . . . .

Cóż więcej Pani doniosę? Chyba się pochwalę telegrafem, którego jedna stacya leży o siedemdziesiąt wiorst odemnie w mieście Tulczynie, dokąd przychodzi z Odesy, rozdzielając się tutaj na dwie gałęzie i dążąc do Brodów i do Kijowa. Obiecują nam także i kolej żelazną, z czego się mocno cieszymy, bo może przy niej znajdzie się zajęcie dla biednej szlachty, której tłumy nie mają najmniejszego sposobu do życia. Zawsze trudno jej było o chleb powszedni, lecz dzisiaj trudniej, niż kiedy, bo liczba potrzebujących służby znacznie się powiększyła przez zmniejszenie wojska i przez skasowanie sądów sumiennych.

O podróży cesarza musiałaś Pani czytać w dziennikach. Warszawa, Kowno, Mińsk, Wilno, wysypały miliony dla uczczenia swojego monarchy. Sprzęty Augusta II przystrajały w Wilnie łowieckie namioty, w których Najjaśniejszy Pan odpoczywał i ucztował i t. d.

O losie „Obrazów literatury współczesnej" wiesz Pani także z gazety; upadły, nim się zjawiły dla braku prenumeratorów. Smutny to wypadek ale mi się zdaje, że pan Lewestam za gorąco kąpany: trzeba było dać nieco więcej czasu publiczności do namysłu, zamiast oświadczenia: że tygodnik jego wychodzić już nie będzie. Powiedzieć raczej, że się z nim wstrzyma do Nowego Roku, aby się więcej prenumeratorów zebrało. Pomału, pomału jakośby to przyszło.

Zresztą, z dziedziny literatury i mało nowego, chyba to, że „Słowo" którego prospekt pewno znasz Pani, fundowane i protegowane jest podobno przez panią Karamzynową, Rosyankę, przyjaciółkę i wielbicielkę Adama, Bohdana, Seweryna, która... i przez stosunki swoje wyjednała i pozwolenie na to nowe pismo i zapewniła mu względność cenzury, pomimo złej woli redaktora „Tyg. Petersburskiego". Pan Ohryzko ma być człowiek prawy, bardzo zdolny i czynny, słyszę, że we wszystkich stolicach europejskich pozawiązywał stosunki, a płacąc znaczne honorarya, licznych współpracowników pozyskał. „Słowo" zaś, stawszy się ciałem, nie da się złemu duchowi opętać!

„Pisma gromadniczego" zbiornik wydawany przez studentów kijowskiego uniwersytetu, w celu sformowania funduszu na podróż za granicę dla najzdolniejszych niedostatnich uczniów, dobre znalazły przyjęcie, bo też wcale dobre artykuły mieszczą. Może być, że się na jednej książcę nie skończy i że z czasem przybiorą rozmiar „Teki Wileńskiej" która coraz to lepiej idzie. Szkoda tylko, że za wiele

miejsca literaturze rosyjskiej poświęca. Wolałby, nie wdając się w tłómaczenia, poprzestać na podaniu od czasu do czasu ogólnego poglądu na bieżące piśmiennictwo rosyjskie. Ale też i to prawda, że w tych tłomaczeniach wiele jest takich rzeczy, któreby w oryginale za nic powiedzieć się nie dały.

Czytałaś Pani poezye Łukaszewicza: „Chwile od prac swobodne" a przynajmniej musiałaś Pani wzmiankę o nich spotykać. Podobno za granicą obdarzono je szczególniejszą uwagą. Jeżeli tak, cieszy mnie mocno ten instynkt, przez który z pierwszych próbek poznano, przeczuto prawdziwego poetę. Pan Łukaszewicz całe swoje ukształcenie samemu sobie winien wyłącznie, a umysł jego rozwijał się w takich okolicznościach, młodość jego tak była przepełniona trudem i niedolą, że z przygód jego możnaby cały poemat napisać. Dosyć Pani powiedzieć, że wszystko, co jest w tej duszy, samo w niej wykwitło bezpośrednio: talent ten nie miał wzorów i nic z książek nie czerpał. Parę miesięcy temu poznałem go w swym domu. Miał z sobą parę rękopismów, przeznaczonych do druku, mających wejść do składu 2 i 3 tomu „Chwil wolnych od pracy". Czytał mi niektóre ustępy, a między innemi „Groch z kapustą", w którym nadzwyczaj ostrą i dzielną satyrą chłoszcze obyczaje dzisiejsze, dotykając najżywotniejszych kwestyi społecznych. Jest to coś w rodzaju „Jordana", ale wiele wyższe. Te tomy wyjdą także w Odesie, gdzie autor mieszka i zachęciwszy drukarza do sprowadzenia polskich czcionek, sam druku swych dzieł pilnuje.

Co do Syrokomli... Biedny obłąkaniec! Oby

Bóg swym cudem wyrwał go z tej przepaści, w którą tak się rzucił na oślep!..."

Potok pod Winnicą 5 czerwca 1859.

„...Obiecałem Pani nowiny. Najświeższą jest Żytomierska spółka drukarska i wydawnictwo „Biblioteki domowej", które zwłaszcza ostatnie powstały, dzięki pomysłowi i dobrej woli Aleksandra Grozy. Drukarnia, na którą pp. Groza, Kaczkowski, Kwiatkowski, Iżycki i Lipkowski złożyli 7,000 rubli sr, a pan Chrząszcz, przypuszczony do spółki, dał tylko swój na nią przywilej, o tyle tylko łączy się z wydawnictwem, o ile będzie się mogło zaspokoić jego potrzeby. Wydawnictwo zaś, w którem oprócz Chrząszcza, biorą udział wszyscy ci, którzy i drukarnię założyli, a firmę handlową dają, ma osobną swoją ustawę i rozdało akcye po 500 rubli sr. oraz bilety prenumeracyjne po 100 i 50 rub. sr. opłacane częściowo w terminie czteroletnim. Różnica między akcyami i prenumeratą jest taka, że akcyonaryusze stają się jakoby wspólnikami i odbierają tylko procent w dziełach drukowanych przez wydawnictwo. Prenumeratorowie zaś odbierają w tych dziełach procent w naturze po rozwiązaniu spółki, na lat dziesięć zawartej. Celem tego przedsięwzięcia jest zniżenie ceny polskich książek, a przez to samo rozpowszechnienie oświaty w niższych warstwach społeczeństwa naszego, dla których się pomyśli o popularnym wykładzie wszelkich potrzebnych umiejętności. Wydawnictwo drukować będzie nie tylko rzeczy nowe, ale też za zgodą autora, po-

wtórzy wszystko, co ma znaną wartość i dla ogółu pożytecznem być może.

Na prośbę studentów kijowskiego uniwersytetu wypuszczono dla nich bilety dziesięcio-rublowe. Pomysł ten w publiczności dość sympatyczne znalazł przyjęcie. Dotąd już się zebrało podpisów na dwadzieścia kilka tysięcy rs., z których naturalnie dwie piąte tylko trzeba rachować w kasie, bo tyle tylko w pierwszym roku się płaci a reszta przez następne trzy lata. Z pierwszych tych wpływów wydawnictwo opłaciło w części księgarnię, nabytą za 170,000 rubli sr. od Teofila Glüksberga w Kijowie i w Wilnie i część jej już do Żytomierza przewiozła. Nabytek to dosyć korzystny, bo podług katalogów księgarskich, to reprezentuje nominalną sumę 17,0000 rs. Będzie więc mogło wydawnictwo od razu znacznie zniżyć cenę polskich książek, co już i uczyniło, rozpocząwszy swój handel podczas obywatelskich wyborów w Żytomierzu. Groza wyjechał do Wilna, tak dla objęcia zakupionej księgarni, jako też dla propagowania swej sprawy i porozumienia się z tamtejszymi obywatelami i literatami, czyby też i u siebie czegoś podobnego zrobić nie mogli i czyby nie zawarli przymierza z wydawnictwem żytomierskiem. Prezesem wydawnictwa jest obecnie Karol Kaczkowski, redaktorami Groza i Apollo Korzeniowski.

Żytomierz, 30 stycznia 1860

„...Wskutek nieporozumień, zaszłych pomiędzy prezesem wydawnictwa a J. I. Kraszewskim, parę set obywateli z Podola przesłało naszemu znakomi-

temu pisarzowi wyraży współczucia, a wydawnictwu bratnią przestrogę. Studenci z Kijowskiego uniwersytetu złożyli mu także adres tej samej treści. W końcu uczniowie żytomierskiego gimnazyum podali na piśmie prośbę do wyborców, aby im nadal pozostawiono Kraszewskiego na kuratorstwie, na czem nie poprzestając, w czasie agitujących się obrad, wpadli do sali obywatelskiej i ustnie jeszcze żądanie swoje powtórzyli. Jednomyślnie też Kraszewskiego kuratorem obrano. Prawda najświetniejszy tryumf odniosła, a tryumfator wspaniałomyślnie wrogom swoim przebaczył. Przystąpił następnie do wydawnictwa, jako akcyonaryusz, a nawet i interes jego w Warszawie załatwił".

Żytomierz, 14 listopada 1860.

„...Drugą kwestyą czasową jest u nas zezwolenie rządu na wykładanie języka polskiego po szkołach, o co szlachta nasza natarczywie każdych prawie wyborów cesarza prosiła zawsze daremnie. Aż nareszcie w tym roku, niby *proprio motu* łaski tej nam wspaniałomyślnie udzielono. (Na Litwie stało się to jeszcze przed rokiem). W przeszłym miesiącu w uniwersytecie kijowskim kandydaci na nauczycieli języka polskiego zdawali egzamin! Egzaminatorami byli profesorowie uniwersyteccy, Rosyanie. Między kandydatami najgodniejsi wzmianki: Aleksander Groza i Leonard Sowiński. Groza miał silną protekcyę obywatelską, ale Sowiński lepiej zdał egzamin i pierwszeństwo przed nim otrzymał..."

„Wydawnictwo przepłoszone przez rząd, zmuszone do likwidacyi za nieprawne niby zawiązanie

spółki na akcyach, nosi dziś firmę Hussarowskiego i dalej swoje czynności prowadzi, stawszy się przedsiębiorstwem czysto prywatnem, zawsze jednak obywatelskiem. Ze wszystkich dzieł, jakie wydało, tylko „Jan III“ Szajnochy, na szczególną wzmiankę zasługuje.

Żytomierz, 6 kwietnia 1861.

„...Wypadki warszawskie wszystkich nas tu elektryzują, podnoszą...

Ze dwa tygodnie temu jakeśmy tu mieli bardzo miłego gościa w osobie Władysława Mickiewicza, najstarszego syna Adama. Miło mi pochwalić się przed Panią z tem, że nasze miasteczko umiało uczcić pamięć ojca w jego dzieciach, a sądzę, że pan Władysław najmilsze wywiózł ztąd wspomnienie pod każdym względem, zwłaszcza, że był świadkiem nabożeństwa żałobnego za poległych w Warszawie, na które się kilka tysięcy ludzi zgromadziło, niosąc w pieniądzach i klejnotach kilkaset czerwonych złotych na pomnik dla nich i na wsparcie ich rodzin.

Co do tego nabożeństwa, policya nasza nie przeszkadzała, ale biskup i oficyał najgwałtowniejszy opór stawili. Kazali rozebrać katafalk i zdjąć żałobę z kościoła, a nawet i otworzyć go nie chcieli, lecz musieli uledz natarczywości. Tłum się zgromadził z kokardami i świecami, z wieńcem czerniowym... Nie było zatem rady: egzekwie się odbyły z muzyką rekwiarną i z hymnem narodowym. A biskup udał chorego i nie pokazał się wcale w kościele. Kwiat naszego towarzystwa, wraz z miesz-

czankami, zajmował się kwestą i t. d. Po nabożeństwie całem i wieniec na drobne rozerwano części, na pamiątkę uroczystości.

O samym sobie tyle tylko Pani napiszę, że wskutek denuncyacyi, rząd mi zabronił zajmować się wychowaniem młodzieży...“

Żytomierz, 4 września 1861.

„...Ze spraw publicznych najważniejsza dziś u nas kwestya włościańska, która idzie bardzo opornie. Jeszcześ na Wołyniu pół biedy: lud tu potulny i łatwo przyjść z nim do ładu, ale na Podolu źle, a na Ukrainie najgorzej. Na Podolu czterdzieści kilka tysięcy ludu odmówiło posłuszeństwa swym panom i rząd musiał surowych użyć środków. Na Ukrainie partya Mało-Ruska, silna wspomnieniem kozaczyzny i hajdamaków, bruździ okropnie. A grób Szewczenki, wieszcza ludowego, którego, prawdę mówiąc, dotąd lud wcale nie znał choć ze swego łona go wydał, dziś dzięki propagatorom, podsyca dzikie, niebezpieczne marzenia.

Zajmujemy się teraz urządzeniem gmin, czyli włości i ułożeniem ustawy. Przez półtora roku ma jeszcze trwać *statu quo* pańszczyźniane. Czas ten pozostawiony do ostatecznego uregulowania stosunków z włościanami, którzy przez czynsz mają przejść do uwłaszczenia. Czynsz ma posłużyć za normę okupu. Obywatele radziby jaknajprędzej tę sprawę zakończyć i nie brak im dobrej woli. Ale włościanie, wskutek różnych podszeptów, mniemając, że od rządu nowe łaski przyjdą, nie chcą w żadne

układy wchodzić, bojąc się, aby tem sobie nie zaszkodzili".

„Owrucz wołyński, 4 lutego 1862.

„Cztery już miesiące minęły od czasu jak list mój pisać zacząłem, a dziś dopiero mogę do dalszego ciągu przystąpić. Piszę go zaś dalej, nie, ażebym się lenił zacząć na nowo, ale dlatego, by Panią przekonać, że nie brakło dobrej woli do utrzymania miłej mi zawsze korespondencyi. Okoliczności, niezależne odemnie, stanęły mi na przeszkodzie. Cały wrzesień przeżyliśmy w większym, aniżeli kiedykolwiek, chaosie, a ostatecznie dnia jednego kazano żonie mojej wyjechać na mieszkanie do Owrucza... za obronę znieważonego krzyża. Rzecz bardzo prosta, że nie zostawiłem jej samej, i oto już czwarty miesiąc wraz z nią przesiaduję w tej zapadłej mieścinie, oczekując nowych wyroków.

...W Żytomierzu, postawionym na stopie wojennej, około stu osób siedzi, a sądy policyjne i wojenne ciągle pracują. Wiele osób cywilnych i duchownych wysłano do wschodnich prowincyi, wiele na karę pieniężną skazano.

Sprawa mej żony dotąd nierozstrzygnięta i niewiadomo jak rychło kolej na nią przyjdzie, a więc i nie wiem jak długo tutaj siedzieć będziemy i gdzie się później udamy.

Lecz wracam do przerwanej kwestyi włościańskiej. Przez te cztery miesiące nic prawie w niej się nie zmieniło... A chociaż po ogłoszeniu włościanom słów cesarza, wyrzeczonych w Połtawskiej

gubernii, że już więcej żadnych łask spodziewać się nie mogą, usposobienie ich zmieniło się nieco, choć wreszcie sami już trochę przejrzeli i pozwalają mówić o układach, wątpię wszelakoż, aby ta ważna robota na termin ukończoną została. Co do opinii obywateli, większość jest za uwłaszczeniem natychmiastowem przez wykup rządowy, i włościanie coraz chętniej ku temu się skłaniają. Pomimo więc wszelkich wpływów nieprzyjaznych, pomimo przeszkód bez liku, możemy mieć nadzieję, że przy pomocy Bożej trudna ta sprawa pomyślnie się zakończy.

Obok tego czynnie się zajmujemy urządzaniem szkółek. Dotychczas niepodobna było na tej drodze coś zrobić. Większość ludu naszego jest wyznania greckiego i dotąd pod względem wychowania zostawała pod bezpośrednią opieką popów, dyaków, którzy chłopców, garnących się do szkółki, używali na posługi przy swojem gospodarstwie. Przed miesiącem wyszło nowe rozporządzenie, wzywające obywateli do zajęcia się szkółkami elementarnemi, które pozostawiono wprawdzie pod zarządem popów, pozwolono wszakże na świeckich nauczycieli, z wyjątkiem katechizmu. Rozporządzenie to niezmiernie szczęśliwem w skutkach się okazało. Lud z największem zadowoleniem je przyjął i sam obywateli natarczywie o szkółki prosi. Jakoż w Podolskiej gubernii już bardzo wiele ich założono.

Co do szkółek katolickich, które tylko przy kościołach mogą być zakładane, to w ostatnich czasach postąpiliśmy znacznie, pomimo wszelkich prze*szkód i najsur*owszej kontroli.

W Owruckiem, powiem, jest do 10,000 szlachty niczem się prawie od ludu nie różniącej, ani strojem, ani mową, ani wykształceniem. Byli to niegdyś unici, dziś wszyscy niemal należą do kościoła wschodniego. Zamieszkali w pięćdziesięciu wioskach i futorach, mający do czterech tysięcy dziatwy zdolnej do nauki, żadnej przecież szkółki nie mają. Niedawno jedna z zacnych tutejszych córek obywatelskich we własnym domu zaczęła zbierać szlachecką dziatwę do nauki, i w przeciągu tygodnia miała już czternastu uczniów bardzo ochoczych — ale onegdaj policya rozpędziła wszystkich, i najsurowiej zgromiła nauczycielkę i rodziców, którzy się odważyli dziatwę do niej posyłać...

...Kwestya włościańska najmocniej nas zajmuje, to jest, najwięcej o niej mówimy i piszemy, a nawet są między nami i tacy, którzyby i działać byli gotowi.

Ogół, szczerą prawdę wyznawszy, nie ma tej dobrej woli, jakaby do przeprowadzenia tak ważnej sprawy była potrzebna, i rad się składa niechęcią, nieufnością i oporem włościan. Że tego wszystkiego w ludzie naszym jest dosyć, trudno zaprzeczyć, ale się dziwić temu, a zwłaszcza wymawiać się tem od spełnienia świętego obowiązku, nie wolno. Lud nie winien bo ciemny, a ciemnota jego naszym jest grzechem—z niej zaś to płynie ten dziwny upór, o który się częstokroć nawet najlepsze chęci rozbijają; przez nią się utrzymuje i ta nieufność, do której zresztą samiśmy tysiączne nieraz dali powody, a w części i dziś jeszcze dajemy. Nie koniec na tem w postawieniu tej przeważnej kwestyi,

rząd wielce się omylił, dozwalając na dobrowolne układy tym, którzy ukazów tylko słuchać przywykli, tym, którzy lada policyantowi, lada popowi, lada włóczędze chętniej wierzyć gotowi, niż najpoczciwszym panom; którzy skutkiem niecnych podszeptów uroili sobie, że po dwóch leciech po ogłoszeniu manifestu wyzwolenia, cesarz oprócz osobistej wolności, jeszcze i ziemię chłopom daruje. Nie dziw zatem, że dobrowolne układy z włościanami do bardzo rzadkich wyjątków u nas należą, oraz że nawet listy nadawcze, ułożone przez pośredników, do niedawnego jeszcze czasu, z wielką niechęcią i oporem były przyjmowane. Wszędzie jednogłośnie i jednomyślnie gromady odpowiedziały, że nie chcą się wdawać w żadne układy i podpisy, które się na nic nie zdały, bo w lutym 1863 roku rząd nad nowym krajem nową wolność ogłosi. Niektórzy z obywateli szczerze tem się trapili; inni znów, narzekając dla oka, skrycie się szczerze cieszyli, że dłużej pańszczyzna potrwa. Bo, podług ustawy z wprowadzeniem listów nadawczych, robocizna włościańska innemu ulega regulaminowi i redukuje się niezmiernie od tejże chwili. Na nieszczęście, nie trudno nawet o takich, którzy bezwstydnie występowali z żądaniem odroczenia terminu wprowadzenia tych listów, jeżeli nie dalej, to przynajmniej do ukończenia żniwa.

Nie wiem jak tam na Litwie, ale co do Wołynia, Podola i Ukrainy, pierwszy pod tym względem najgorzej stoi, choć tutaj lud najpotulniejszy. Na Podolu zaraz po ogłoszeniu manifestu, 40,000 *ludu* odmówiło posłuszeństwa dziedzicowi i wywo-

łało najenergiczniejsze środki opozycyjne ze strony rządu. Na Ukrainie, w tym roku, kilka ogromnych włości odmówiło przyjęcia listów nadawczych i różnych dopuściło się gwałtów względem swojej gminnej starszyzny, co również, jak dawniej na Podolu, zmusiło rząd do wdania się bardzo ostrego. Na Wołyniu jedna włość tylko była karana, i zdawało się, że tu ta sprawa pójdzie najlepiej. Tymczasem dziś na Podolu prawie już wszędzie wprowadzono listy nadawcze bez żadnego oporu, a w wielu miejscach nawet i dobrowolne pozawierano układy. Na Ukrainie także nie najgorzej idą interesa. Wołyń zaś najopieszalej swoje prowadzi, zwłaszcza w powiatach pogranicznych z Litwą, czyli też w ogóle na Polesiu. Tak przynajmniej było do niedawna. Rząd w trudnej się znalazł pozycyi. Użycie środków opozycyjnych źle dla niego lud nasz usposobiło; rad tedy nie rad, musiał perswazyi spróbować. Polecono gubernatorom objechać wszystkie powiaty, i po wszystkich włościach stanowczo oświadczywszy gromadom, że żadnej już innej wolności nie będzie, że się nowego manifestu spodziewać nie powinny, nakazać im co najrychlejsze podpisywanie listów nadawczych.

Środek ten nadspodziewanie dobrze się powiódł. Chłopi, którym po wsiach rozdano drukowaną przemowę gubernatora, wczytawszy się w nią i wsłuchawszy, spostrzegli wreszcie, że szlachta nie myślała ich oszukiwać, że wszystko to, co im mówiła o znaczeniu ustawy i o konieczności wprowadzenia listów nadawanych, nie było jej wymysłem a wolą cesarską, że emancypacya sama wynikła

z dobrej woli obywatelstwa, nie zaś jedynie z cesarskiego nakazu—że grunta nakoniec są niezaprzeczoną własnością państwa. Spostrzegli, i radzi nie radzi, z małemi wyjątkami, już się nietylko nie opierają, lecz nawet sami proszą o przyśpieszenie końca nowej organizacyi. Mamy zatem nadzieję, że skoro od Nowego-Roku listy nadawcze wszędy już ogłoszone zostaną, ludność rolnicza do należytego porządku wróci. Wszelakoż mimo nieuniknionego, w podobnych razach, rozprzężenia, nie możemy się skarżyć, aby interesa nasze zbyt wiele ucierpiały od złej woli dawnych naszych poddanych. Owszem, żniwa odbyły się wszędzie bardzo porządnie; w wielu nawet miejscach, lepiej niż lat poprzednich. W ogóle zaś rzec można, że usposobienie włościan względem obywateli nie jest wcale złowrogiem, nie jest przynajmniej takiem, jak je partya rusińska w dziennikarstwie swojem chce wyobrazić.

Partya ta, której głównym reprezentantem w piśmiennictwie jest bardzo zdolny pisarz, Kulier redaktor Osnowy, pisma poświęconego wyłącznie kwestyom dotyczącym Rusi, główne siedlisko swoje ma na Rusi Zadnieprowskiej—i w tych jednak prowincyach nie brak jej zwolenników. Było ich nawet niegdyś bardzo wielu pod wodzą pana Antoniewicza i jego ucznia i satelity, Tadeusza Rylskiego (obaj Polacy). Sowiński nawet, jeden z najzdolniejszych młodych poetów, należał do rzędu koryfeuszów tego stronnictwa; ja sam przychylnie o nim sądziłem, widząc w tak zwanych: Chłopo*manach* czy Rusomanach, wcale dobrych Polaków

i całą ich partyę uważając za szczerych przyjaciół ludu. Nieraz nawet gorąco występowałem w ich obronie, zwłaszcza, gdy wsteczni z pomiędzy szlachty oskarżali ich o knowania demagogiczne. Ale przed rokiem rzeczy się wyświetliły zupełnie; stronnictwo przeddnieprowskie, które dawniej w wielu bardzo względach stanowiło opozycyę względem zadnieprowskiego, w wyobrażeniach swoich zlało się z niem zupełnie, Antoniewicz i Rylski jawnie i głośno zaparli się swojej polskiej narodowości, i całkiem się zdemaskowali z najzaciętszą nienawiścią dla polskiej szlachty, którą w tych prowincyach uważają za intruzów, wrogów i najsroższych ciemiężycieli ludu, prawego ziem tych dziedzica. Zawiązała się polemika prywatna, w której Padalica z Sowińskim starali się zreflektować zaprzańców, lecz, niestety, napróżno! Ci bowiem, nie przestając na korespondencyi poufnej, zaczęli występować przeciw nam publicznie, a za organa swoich przekonań obrali dzienniki rosyjskie: „Osnowę," „Dzień" i „Telegraf kijowski," gdzie z Rylskim i Antoniewiczem połączył się niejaki Gorzołczyński, klient Góresowicza i Iwaniszczewa, wydawców Archiwum południowo-zachodniej Rusi Tłomacz ich broszur, polemizujących z pismami polskiemi, niedawno zaszczycony został posadą nadzorcy gorzelanego w powiecie Owruckim.

Nie mam potrzeby mówić jak haniebnem jest to ich wystąpienie, ta walka z nami nierówną bronią, pod przeważną opieką i poparciem, których nam brak zupełnie. Gdy oni błotem na nas rzucają i zniewagami, my milczeć, albo półsłówkami tyl-

ko odpowiadać możemy; bo chociaż „Dzień" (pismo panslawistyczne, wychodzące w Moskwie) drukował kilka artykułów, opisujących urojenia ich bezzasadne, to nie mogły być dość szczerymi; a zresztą w ślad za niemi szły odpowiedzi jeszcze gwałtowniejsze i jeszcze bardziej potworne. Nakoniec, kilka miesięcy temu, dziennik ten przez rząd cofniętym został i dziś nie mamy już gdzie polemizować, gdy tymczasem w Kijowie nowe pismo powstało, wyłącznie rusińskim sprawom poświęcone, a więc z natury rzeczy nam nieprzyjazne. Skutkiem tego wszystkiego partya rusińska przednieprowska straciła bardzo wielu zwolenników, i dzisiaj w małem zawarłszy się kółku, ręka w rękę iść zmierza za stronnictwem naddnieprowskiem, o którem już wiemy, co myśleć mamy.

Z kwestyą włościańską ściśle się łączy oświata ludu. Ta dotąd wyłącznie była na losie popów i w najsmutniejszym znajdowała się stanie. W tym roku dozwolono gminom na własną rękę szkółki otwierać, i dosyć ich powstało, zwłaszcza na Podolu, na Ukrainie i na południu Wołynia, bo lud gorąco uczyć się pragnie, a poczciwi obywatele szczerze go do nauki zachęcają.

To stronnictwo nam nieprzyjazne, bojąc się, abyśmy nie zechcieli oświecać ludu po polsku i po katolicku, alarm w dziennikarstwie podnosi. Rząd zaś ze swojej strony pilną na to uwagę zwraca, aby w szkółkach elementarnych, oprócz katechizmu, czytania, pisania rosyjskiego, nic więcej nie uczono. W szkółkach zaś parafialnych katolickich, *ponieważ nauka* kościoła, śpiewów kościelnych i ka-

techizmu nieodbicie musi odbywać się w języku polskim, świeżo wzbroniono uczyć się tym dzieciom katolickiego wyznania, które po polsku nie mówią. W ten sposób działalność nasza na tem polu tak jest ograniczona a prawie za nijaką uważaną być może.

Trzecią współczesną kwestyą żywotną jest Towarzystwo kredytowe dla Podola, Wołynia i Ukrainy, o potwierdzenie którego wielkie starania się czynią w Petersburgu, ale rezultat ich bardzo jeszcze wątpliwy.

Co do społecznego życia naszego, pod wielu bardzo względami dosyć korzystne zaszły w niem zmiany; mniej zbytków, mniej hulanek, pijatyk, karciarstwa. Opinia publiczna, choć jeszcze niezupełnie wyrobiona, ale bardzo jest czujna; lada krok fałszywy ostre wywołuje sądy. W niektórych nawet powiatach ustanowiono sędziów obywatelskich, którzy mają stanowić najwyższy moralny trybunał, rozstrzygający wszelkie sprawy i karzący wszelkie wykroczenia nieodwołalnie.

W literaturze cisza prawie zupełna, oprócz elementarzy i dzieł przeznaczonych dla ludu nic a nic prawie się nie drukuje, prócz gazet mało się czyta. W naszych prowincyach tylko Sowiński napisał ostatniemi czasy śliczny poemat p. t. „Powieść," z którego parę ustępów ogłosił w „Kuryerze Wileńskim," a doktór Kotkowski wydał broszurę p. t. „Postęp i wsteczność," traktującą o pisowni we wszystkich narzeczach słowiańskich i wyższość polskiej nad innemi jaśnie wykazującą. Wywołała ona

niezmierną wrzawę w pewnej koteryi dziennikarstwa rosyjskiego.

Otóż i wszystko. O samym sobie nic nowego Pani nie powiem. Od roku nic się nie zmieniło w położeniu mojem, proces nie skończony dotychczas. Racz więc Pani list swój adresować tak jak pierwej."

W r. 1863 został Adam Pług wywieziony z Owrucza do Kijowa i osadzony w warownem więzieniu, gdzie lat kilka przesiedział. W tym czasie oddał się tłómaczeniu dramatów Shakespeare'a z oryginału, i zbogacił prawdziwie udatnym przekładem tę gałąź literatury naszej.

Że projekta literackie, o jakich w listach swoich wspomina do skutku nie przyszły, innych wydawnictwo po krótkim czasie upadło, — domyślić się łatwo. Jako i w ogóle wszelkie zacne, poczciwe i szlachetne dążenia, mające dobro ogólne na celu.

Romuald Drucki Podbereski.

W końcu roku 1854 doszedł mnie list z 12 sierpnia z Archangielska, od Romualda Podbereskiego — adresowany po rosyjsku do Warszawy — złożony z kilku arkusików nieczytelnie zapisanych, który nadzwyczaj przykre na mnie zrobił wrażenie—bom z niego poznała, że... cierpiał na umysłową chorobę. Wyczytałam z nich, że, siedząc w Wilnie, prosił gubernatora, ażeby do której z południowych gubernii wysłanym został, bo zdrowie jego nadwątlone, cieplejszego potrzebuje klimatu. Gubernator obiecał—i wysłał go do Archangielska!

List dalej zawierał rodowód jego, sięgający Kiejstuta — i wywód procesu: o tytuł księcia — i kilkanaście milionów rubli. Miejscami szałem tchnęły wyrazy, miejscami znowu rozsądniej przemawiał, całość jednakże o bardzo smutnym świadczyła stanie.

„Pierwsze pismo Twoje — pisał między innemi — będzie dla mnie zwiastunem aniola Gabryela

i ja odrodzę się na nowo odrodzeniem ducha. Ulitujcie się nad tęskniącym w okropnym, dalekim kraju—daleki od rodaków—od braci—Wygnaniec!"

Po razy parę przerywał sobie, śląc błogosławieństwo tym, którzy o wygnańcach pamiętają. A potem znowu wpadał na Petersburg, na Wilno, lub żaląc się na srogie wiatry od morza, burze i zimno, które w nim resztki wyniszczają życia. Ile, że w lipcu i sierpniu jest zmuszonym palić po dwa razy na dzień, a cóż dopiero w inne miesiące! I wreszcie temi kończy słowy:

„Żegnam cię raz jeszcze i błogosławię—a jestto błogosławieństwo wygnańca — skazańca! Szkieletu! Ducha trapionego! Polecam Ciebie Boskiej Opatrzności! Boże! Boże!... Wiatr zlodowaciały niesie piasek morski na te wyrazy! Błogosławieństwo Boże!

Romuald."

Potem jest dopisek, smutniejszy od bolesnych wyrazów powyższych: „Załączam mój bilet wizytowy

Tout à vous."

Na bilecie była czapka książęca i mitra.

Romuald Podbereski umarł w Archangielsku, lecz nie wiem kiedy.

Dyonizy Skarzyński.

Młody człowiek z Kaliskiego Michał Szymanowski, przeszedł w roku 1848 do księstwa i pozostał w Poznańskiem. Zaciągnął się w roku 1851 do wojska pruskiego, w celu otrzymania obywatelstwa—lecz zaszła denuncyacya fatalna, i w r. 1854 został rządowi rosyjskiemu wydany. Poszedł w sołdaty i wysłano go do pułków syberyjskich, do Tobolska. Ztamtąd pisywał do mojego szwagra, Hipolita Radońskiego, w którego domu dawniej gościnne znalazł przyjęcie.

W jednym z tych listów doniósł, że z Tobolska poznał dwóch panów Skarzyńskich. Że zastał u nich jakieś tam powieści moje i zawołał:

— Ach to pani Wilkońska napisała!

— Czy pan ją znasz?—zapytali go.

— Znam... — i opowiedział, że mnie poznał w Siekierkach i t. d.

Przesłali mi pozdrowienia swoje — i zawiązała się zamiana listów z dawnym znajomym, panem Dyo-

nizym. A wygnańcowi, toć i każda literka jest miłą. Otóż i parę ustępów z jego listów:

„Tobolsk, 24 września 1857 r.

...Wiele to ciężkich lat upłynęło od ostatniego widzenia się naszego. Doświadczyłaś Pani bolesnej straty, a życie nasze było ciągłem pasmem cierpień, boleści i zawiedzionych nadziei. Szósty rok upływa jak jesteśmy na Syberyi — przywiązani do jednego miejsca, nie mogliśmy nawet poznać i własnemi oczami przypatrzeć się temu niezmiernemu obszarowi, który zaludniony niegdyś rozmaitemi ludźmi, fińskiego, tureckiego, i mongolskiego plemienia, dziś coraz bardziej i wybitniej rosyjskim się staje.

Nad brzegiem Irtysza gdzie leży Tobolsk, władali niegdyś Tatarzy. Ostatni ich han Kuczum uległ w walce z Kozakami. Dziś w Tobolsku wznosi się kolumna na cześć zwycięzcy Tatarów Jermaka—a Iskiał, dawna stolica Kuczuma, nad urwistym brzegiem Irtysza, pokryty chwastem, szczątkami tylko wałów świadczy o dawnej przeszłości swojej. Potomkowie dawnych hanów handlują herbatą i futrami, lub łowią ryby. Szczupłą jest historya Syberyi, zaczyna się dopiero od czasu zawojowania, i całą jej treścią walki z nawpół dzikiemi hordami; budowanie drewnianych częstokołem otoczonych zamków, zbieranie jasaku i śmiałe, awanturnicze na wątłych łodziach w głąb kraju wyprawy. Wielkie *rzeki*, płynące tu z południa na północ, były to

wielkiemi drogami po których posuwano się dalej; z systemu jednej rzeki przebierali się odważni zdobywcy do systemu drugiej, płynąc mniejszemi, wpadającemi do nich rzekami, przenosząc nieraz na plecach lub przeciągając łodzie, szli dalej gnani chęcią zysku i łupieży; i zbiegali się tu awanturnicy z całej Rosyi, szukając kosztownych futer, odzierali i oszukiwali biedny lud, ceny ich nawet nieznający—i tak podbój ten bez żadnych, ze strony rządu, wysileń szedł dalej, a wszędzie budowano ostrogi, przyjmowano w poddaństwo, i w przeciągu lat kilkudziesięciu, granice Rosyi o 10,000 wiorst rozsunęły się ku wschodowi. Ta przestrzeń niezmierna łączy w sobie rozmaite klimaty i narodowości, rozmaite płody roślinne i kopalne, obfitość ryb w rzekach, zwierzyny w lasach; żyzne łany ku południowi mchem porosłe; ku północy mnóstwo rzek, jezior i bagnisk; równiny i niziny w północno-zachodniej części; góry od południa i wschodu. Tu i owdzie gronostaje, sobole, lisy i wiewiórki, w łonie ziemi drogie metale i droższe od nich żelazo i węgiel. Przemysł żaden. Przy wielkiej obfitości pierwszych potrzeb, lud leniwy i nielubiący pracy.

Radbym choć w kilku rysach skreślił fizyonomię kraju, w którym przebywać muszę. Ale tu każda miejscowość odznacza się pewną szczególnością, i mówiąc o Syberyi, trzebaby ją dzielić na wiele części, i każdą z osobna uważać, a toby przechodziło granice listu.

Niewiele dotąd pisano u nas o Syberyi, i dziwna rzecz, bo byli ludzie, którzyby coś napisać

mogli. Ale tutejszy klimat zimny i wilgotny—jałowe towarzystwo, brak wszelkiego życia, zachęty i podniety, silnie działa na umysł i serce człowieka. Czucie tępieje, umysł staje się coraz bardziej leniwym, ginie chęć do pracy, żyje się, a raczej wegetuje z dnia na dzień. Może teraz, gdy rozproszeni bracia wracają na łono matki, znajdzie się ktokolwiek, co się zajmie szczerym a sumiennym opisem tej, zewszechmiar ciekawej, krainy. Przekład dała pani Felińska. Znasz pani jej opowiadanie o Syberyi — mianowicie o Berezowie. Piękna to książka i mile napisana, mnie się jednak zdaje, że autorka przedstawiła jedną tylko stronę medalu — pod drugą kryją się śmieci i nieczystości, którychby nawet pióro kobiety dotknąć nie mogło. Zastanowić się tylko z jakich pierwiastków składa się ludność Syberyi!

Pierwotni mieszkańcy grają tu tak podrzędną rolę, że w społeczności rozwinięcia się Syberyi, wyłączają niektóre ludy Syberyi wschodniej, mianowicie Jakutów i Buryatów i mieszkańców stepu Kirgizów. O reszcie i wspominać nie warto. Przeważająca co do liczby, zamożności i oświaty jest ludność rosyjska, która powstała z awanturników, zesłanych zbrodniarzy i przybyszów, chleba szukających. Dziś chłopi trudnią się uprawą roli, przewozem towarów, polowaniem i rybołóstwem. Zesłani na posilenie lub uwolnienie z robót przestępcy, używają najzupełniejszej swobody, stanowią klasę służących po miastach, robotników po wsiach, i głównie pracują przy wydobywaniu złota we wscho-

dniej Syberyi. Dalej są kupcy, a na czele społecznej hierarchii stoją urzędnicy.

Nie wiem czy jest jaki kraj na świecie, gdzieby zepsucie i demoralizacya głębiej sięgały. Łupieztwo i sprzedajność urzędników, zła wiara u kupców, zbrodnie i zabójstwa, mianowicie w klasie zesłanych zbrodniarzy. We wszystkich stanach demoralizacya kobiet posunięta do wysokiego stopnia, nie są to wrzące namiętności, bo gdzieby ich szukać w tym lodowatym klimacie, ale skutek zepsucia, próżniactwa i znudzenia. Nieraz już zadawałem sobie pytanie: jakim sposobem społeczność, nieznająca cnót domowych i publicznych istnieć, a nawet rozwijać się może? Ale to dotąd zagadką jest dla mnie. Stanowisko umysłowe bardzo niskie, trzy gimnazya, w których razem około czterystu uczących się; korpus kadetów w Omsku, szkoły powiatowe—oto są wszystkie zakłady naukowe. Myślano o założeniu uniwersytetu w Tobolsku, ale uznano, że to byłoby za wcześnie. Duchowieństwo ma swoje seminarya. Wykład, mojem zdaniem, lepszy tam jak w gimnazyach. Mimo to, duchowieństwo nie grzeszy oświatą—a w chciwości i zdzierstwie nie ustępuje urzędnikom. Ostyak, którego ochrzczono i nauczono pacierza, zapytany co znaczy: „Zbaw nas od złego"—odpowiada—„że to pewnie od popa i zasiedatela" (urzędnik policyjno-administracyjny). Wszystko cokolwiekby mogło mieć jaki związek ze sztuką, jest tu najzupełniej obcem. Główną i jedyną zabawą jest gra w karty, a grają starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety.

Radbym bardzo, żeby skreślony ten obraz był

przesadzonym, ale, na nieszczęście, zdaje mi się, że tak nie jest. Syberya ma przyszłość wielką, wszelkie warunki dalszego rozwoju—lud wolny, zamożny i urządzenie gminne; urodzajną ziemię i skarby w swem łonie—ale dziś łączy w sobie wszystkie wady ludu wychodzącego z barbarzyństwa z zepsuciem narodów ucywilizowanych. Nie mało przyczyniają się do tego zesłani zbrodniarze. W okolicach, do których nie wolno zbliżać się posileńcom, np. w górniczym okręgu w Tomskiej gubernii, ludność odznacza się moralnością i pracowitością. Wpływ rosyjski na wszystkie dawne plemiona zgubnym się okazał.

Żyje tu jeszcze szanowny starzec Onufry Pietraszkiewicz, posiada znaczną, jak na Tobolsk, bibliotekę, po największej części własnem zgromadzonej staraniem, i zaopatruje w książki każdego z rodaków.

Koledzy nasi codziennie wyjeżdżają lub przejeżdżają przez Tobolsk w powrocie do kraju. Jak długo nam tu jeszcze pozostać przyjdzie—Bogu tylko wiadomo..."

„Tobolsk, 26 maja 1858 r.

„...List Twój, Pani, czytaliśmy wszyscy z najwyższem zajęciem. Ja znalazłem w nim dowód przyjaźni i zaufania...

Strata Twoja, Pani, jest bezwątpienia niczem nie wynagrodzoną, i to jedno chyba tylko pocieszyć Cię może, że gdy w dzisiejszych czasach nie-

niemana znakomitość buduje sobie piede-
ja się kadzidłem i na drugi już dzień ginie
mnieniu, ś. p. August, lubo niejedną gorzką
przeżyć musiał, znalazł po zgonie ogólne
i żyje w pamięci ziomków, którzy już dziś
omnością względem niego. Chwile, które
dziłem niegdyś w towarzystwie Waszem zaw-
są drogie i pamiętne — były to chwile mło-
marzeń, nadziei, z których pozostało tylko
arowanie, ruiny i groby. Taka kolej na świe-
na tych ruinach wzniesie się gmach nowy, bez-
pienia piękniejszy i wznioślejszy, bo innemi być
mogą wyroki Opatrzności..."

„W guberniach litewsko-ruskich żywotną kwe-
ą jest oswobodzenie chłopów — i Bogu niech bę-
dzięki, że przyszedł koniec niewoli w Europie.

Współbracia nasi na Syberyi już po największej części wrócili do kraju; niektórych żony lub interesa familijne zatrzymały na czas niejaki i nie wielu już pozostało, nie mających pozwolenia powrotu, do ich liczby my liczymy się, na nieszczęście, a lubo nie braknie obietnic i nadziei, niczego się dotąd doczekać nie możemy. Jeżeli prędko kolej nie przyjdzie na nas, wkrótce pozostaniemy sami w Tobolsku. Smutno pomyśleć o tem, a więcej jeszcze dręczy nas myśl o starym, znękanym i od lat dwunastu osieroconym ojcu. Jedyną tu pociechą są listy z kraju, od rodziny, przyjaciół, towarzyszów niedoli. A gdybyś Pani wiedzieć mogła ą radością czytaliśmy list Twój, możebyś czępismem swem uszczęśliwić nas chciała..."

„*Przypisek.*

„W tej chwili odebraliśmy wiadomość, że i dla nas pozwolenie powrotu do kraju już jest podpisane. Proszę więc, pisz Pani łaskawie przez Suwałki—Sereje—w Bendrach.

Wiadomość ta ostatnia ucieszyła mnie nad wyraz. Napisałam więc do Bender, by wracających w progi ojczyste serdecznem powitać słowem. Na to odpowiedział mi pan Dyonizy:

„List Twój, Pani, odebrałem w Bendrach po powrocie naszym z długoletniego wygnania; z rozrzewnieniem i wdzięcznością czytałem te wyrazy pełne współczucia, życzliwości i przyjaźni.

W parę tygodni po wyprawieniu mojego listu ostatniego z Tobolska, puściliśmy się w drogę— i dwudziestego czwartego dnia stanęliśmy w domu ojca naszego; było to dnia 2 lipca. Nie będę opisywał Ci, Pani, radości szczęśliwego starca, który po dwunastoletniem sieroctwie ujrzał się nakoniec w objęciu synów swoich. Bogu niech będzie dzięki! Znaleźliśmy go w daleko lepszym stanie zdrowia, aniżeliśmy się spodziewać mogli.

Znajomi nasi, krewni, sąsiedzi, wszystkie klasy społeczeństwa, bogaci i ubodzy, panowie i chłopi witali nas z tak gorącem współczuciem, że nieraz łzy stawały mi w oczach, i nie umiałem sobie zdać sprawy, czem na tak serdeczne współczucie potrafiliśmy zasłużyć.

Drogę naszą z Tobolska skierowaliśmy na Smoleńsk i Wilno. Droga ta przepełniona wspomnieniami historycznemi; po niej odbywali pochody *książęta* litewscy, na niej odegrał się wielki dru-

mat XIX wieku. Sterczą jeszcze mury Smoleńska poszczerbione przez czas, podziurawione kulami. Na nich wyczytaćby można dawno minione dzieje dwóch pasujących się z sobą w nieustannej walce sąsiadów.

W Smoleńsku jest kościół katolicki. Pobiegłem więc do księdza w nadziei, że znajdę w nim człowieka znającego przeszłość tej ziemi, jej wspomnienia, podania ludu, wierniejsze często, a przynajmniej pełniejsze życia i poezyi, aniżeli książkowa historya, ale poczciwiec ksiądz nic więcej powiedzieć mi nie umiał, prócz tego, że parafia uboga, pracy dużo, a dochodów mało.

Z Wilna przybyliśmy wprost do domu — i po dwóch dniach pobytu u ojca, wyjechaliśmy do Warszawy dla odbycia potrzebnych formalności i załatwienia rozmaitych interesów...

W Warszawie spotykaliśmy kilkudziesięciu kolegów z Syberyi, pomiędzy nimi wielu z wyższem wykształceniem umysłowem, wszyscy z sercem i charakterem. Każdy z nich szukał i znalazł poczciwą pracę i zajęcie, a szlachetnem postępowaniem potrafił wyrobić sobie stanowisko i na powszechny zasłużyć szacunek. Serce mi rosło patrząc na ich prawość, hart duszy i wzajemne braterstwo. Jest tam pomiędzy nimi i Gustaw Erenberg...

Od dwóch tygodni jesteśmy znowu w domu, prowadzimy życie czynne i roztargnione. Codziennie spotykamy się w domu lub za domem z dawnymi znajomymi i z nowem pokoleniem, które bez nas dorosło. Byliśmy na kilku zebraniach tańcujących i na jednem, gdzie rozprawiano o gospodarstwie

rolnem. Wszystko nam dotąd w pięknych przedstawia się kolorach, a nie miałem dosyć czasu do rozpatrzenia się w rzeczach i ludziach; serce zanadto wielką gra rolę, by umysł spokojnie mógł rozważyć i porównać czas obecny z przeszłym i widzieć postęp czy cofnięcie się..."

„Bendry, 15 września 1858 r.

„Dnia 11 sierpnia 1858 r. odbyło się we wsi Rotnicy o trzy wiorsty od Druskiennik żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Jana Czeczota i poświęcenie pomnika wystawionego przez hr. Walickiego zmarłemu w 1847 r., w Druskiennikach, a pochowanemu w Rotnicy Czeczótowi.

Napis na pomniku A. E. Odyńca:

„Młodość poświęcił pracy dla nauk i cnoty;
Wiek męzki przetrwał mężnie w próbach i cierpieniu;
Miłość Boga i bliźnich treść jego istoty,
Cały ciąg życia Jego droga ku zbawieniu.
Imię jego w Ojczyźnie jest wiecznie związanem
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem,
Kto wiesz czem oni byli—schyl skroń przed tym głazem,
Pomyśl, westchnij i módl się za wszystkich trzech razem."

Józef Bogdan Dziekoński.

Za powrotem z Warszawy w czerwcu 1855 r., zastałam w Sickierkach list od Bogdana Dziekońskiego z Paryża, z dnia 5 marca. Otóż co mi pisał:

„Zdziwisz się Pani, przeczytawszy podpis tego listu, że ja to żyję jeszcze, jeżeli to życiem nazwać można. Ale, że i to lada chwilę zagasnąć może, więc chciałbym pożegnać dobrych znajomych i przyjaciół, a z tych liczby nie możesz mnie Pani wyłączyć. Z ś. p. Augustem łączyła mnie rzeczywista, głębsza przyjaźń, i wiem, że on czuł, iż jestem jeden z małej liczby, co go prawdziwie ocenić umieli. W Medyolanie 1848 r., w chwili wyruszenia przeciw Austryakom, wręczono mi list Augusta, pomazany, powycinany, dotąd nie wiem jaką drogą doszedł. Wyrzucał mi August, żem mu się nie zwierzył z zamiarem emigracyi... a przykro mi było, żem z tego zarzutu jemu nie mógł się usprawiedliwić. Ależ zwierzenie się takie jest ciężarem; nie robiłem

go bez konieczności, a niektórzy co nic nie wiedzieli, udawali później poinformowanych. Gdzie też to ta próżność się nie gnieździ!... Lecz dość o tych chwilach, których wspomnienie niema nic przyjemnego. Miałbym tyle do zapytania się Pani i tyle do opowiedzenia! Ufny w Jej dobroć, że nie zbędziesz mnie milczeniem, muszę na ten raz hamować się, aby list pierwszy nie znudził Pani do szczętu. A więc do rzeczy. Od wyjścia z kraju, zawód literacki mój ograniczał się korespondencyami, konspiracyami, proklamacyami, lub przepisywaniem, tłómaczeniem podobnych aktów. Dziś znowu czuję, że za cały czyn pozostaje nam mowa. Na jak długo? Bóg to wie, a chociaż życzymy sobie, aby jutro trąby zagrzmiały — to doświadczenie nauczyło, że bierne oczekiwanie najzgubniejsze, więc żyjmy, jakby pokój miał trwać lat dziesięć. A zatem pisać! Zresztą też, abym był szczerym, muszę Pani wyznać, że to jedno co mi dziś pozostaje dla zaklinania od prześladowań krwawych, przeszłości i przyszłości, na papier wylane boleści, często znacznie giną w sercu; innych powierników nie mam, albo mieć nie chcę. Mam wiele prac zaczętych, a nieskończenie wiele projektów, ale ponieważ wszystko odnosi do Polski, więc trzeba powziąć języka i stosunki dawne odnawiać lub nowe robić, bo u nas tak, jak na odległej wyspie, gdzie oprócz tego jeszcze indywidualizm przemaga. Jak kraj o wielu nas zapomniał, tak i my nie wiemy czem krajowi służyć, czego tam chcą, czego potrzebują, a co im niemiłe, lub szkodliwe. Każdy powiew wiatru od Was, każde słowo, to na *długo orzeźwia.*

Między innemi chciałbym napisać co o ś. p. Auguście. W naszej literaturze znaczenia jego, o ile wiem, nikt dotąd nie oznaczył godnie. Czybyś Pani nic przeciw temu nie miała? Po zezwoleniu Pani i dalszem porozumieniu się, przesłałbym Pani do przejrzenia artykuł ten, któryby się jednak drukował w piśmie zbiorowem, jakie tu zamierzam wydać (lecz to sekret, bo inaczejby się nie udało). Proszę o wiadomość, kto i gdzie co o nim podał.

Mam już bardzo zaawansowaną powieść (parę tomów będzie), z powszednich dziejów emigracyi. Dla tych, co samej ciekawości szukają będzie ciekawe, dla mniejszej liczby nastręczy głębsze uwagi. Wielu pewnie oburzy, bo za wiele w niej prawdy, wszystko z natury. Ale co tam samemu o tem pisać! Alboż to Pani nie z tego samego „cechu?" Osądzisz towar! Przez tyle lat, toć wiele doświadczenia, wiele biedy i zapatrywania się przybyło i krew ochłodła, jeżeli nie skrzepła, aby tylko umieć dać uczuć, co sam czuję, na tem sztuka! Staram się o to.

Pani jesteś świadoma stosunków poznańskich, do kogoby się tam udać i w jaki sposób, aby wydrukować, naturalnie z korzyścią. Bo tu tak biedne położenie, że kto chce być niezależnym, z pracy dniowej na dzień drugi żyć musi, a o pracę ręczną coraz trudniej.

Z naszych dawnych znajomych są tutaj: Zmorski, Lenartowicz i Cypryan Norwid. Każdy jednak z nich swoją drogą postępuje, i chociaż w zgodzie, widujemy się rzadko. Cypryan Norwid wrócił niedawno z Ameryki; istna ruina tego, co było; dawna

duma, dawna pewność siebie starte nieszczęściami i walką. Świat może patrzy inaczej. Alem ja dojrzał, że postęp zrobił. A pomimo to, jakem z nim pogadał, wspomniał Warszawę... łzy nam w oczach stanęły! A wtem głos wewnętrzny szepnął: Córy jerozolimskie nie nademną, lecz nad sobą zapłaczcie!" Ale, że ja dla siebie jestem bez litości, więc z siebie śmiać się wolę. Gdzież to nasze marzenia?

Wystaw Pani sobie, że z moich warszawskich przyjaciół, kolegów, spólników zabaw i jak tam to wszystko nazwać, kilkunastu przez ten czas umarło! Tak jest! Mógłbym spisać tchem jednym dwadzieścia nazwisk, z których jedni pod ziemią, inni na krańcach ziemi, na wygnaniu, na Syberyi, a ci, co uratowali się z powodzi!... Boże, zlituj się; może lepiej, żeby z innymi zatonęli.

Od rodziców przeszło od dwóch lat żadnej nie mam wiadomości. Widzisz więc Pani, że piśmiennictwo, jakkolwiek materyalnie trudne w mojem położeniu, jest jednak jedyną dziś pociechą, dopóki Bóg dobrotliwy nie dozwoli doczekać się najwyższej pociechy, śmierci za Polskę, aby inni żyć dla niej mogli. Wybacz Pani ten ton żałobny, ale co robić? Stał on się tak powszednim u mnie, że trudno w szczerszej pogadance z innego zagrać.

Jeżeli Pani będziesz tak dobrą i odpiszesz mi, proszę, racz mi powiedzieć, jaką Pani pracą w tej zajmujesz się chwili? Jak Pani się zdaje, w jakim kierunku najlepiej pisać dla nas?...

Jeżeli Panią mogą jakie od nas wiadomości interesować, to napisz Pani choć całą litanię zapytań, a najrzetelniej, jak zdołam, odpowiem.

A teraz żegnam Panią z prawdziwem uczuciem wdzięczności za dobre serce i wszystko dobre, czego w Waszym domu doznawałam, a czego nigdy nie zapomnę

Życzliwy sługa

J. B. Dziekoński".

Adres mój:
Ms.. Dziekoński
Paris
(Beaulieu)
Batignolles, 23 Lemercier".

Odpowiedziałam mu zaraz po odbiorze listu. Ale to było dopiero w cztery miesiące po napisaniu tegoż, z wielkim żalem moim, że tak długo na odpowiedź czekał.—Doniosłam mu o rodzicach jego obszernie—bom ich odwiedziła, będąc w Warszawie; o bracie i bratankach. — I napisałam mu o wszystkiem cokolwiek bliżej interesować go mogło. — Na to odebrałam list po tygodniu — ale nie jego ręką pisany:

„Paryż, 27 czerwca 1855 r.

„List dobrej Pani zastał mnie już w tak złym stanie zdrowia, że sam pisać nie mogę. A że zamiast polepszenia, ciągle się pogarsza, uproszoną, pożyczoną ręką, choć najgłówniejsze rzeczy doniosę. — Najprzód z całego serca dziękuję za wiadomość o famili mojej—o której od dwóch lat nic nie wiedziałem.

Słabość moja teraz jest to gatunek konsumpcyi z niewygód i zwykłych nieprzyjemności życia pochodząca. Szpital, do którego się udam, nie jest zupełnie podobny do innych. Sufity na siedem metrów wysokie, łóżko od łóżka, o trzy metry oddalone. Położony jest na górze. Lekarze najlepsi w Paryżu.— Słabość moja potrzebować będzie może długiego i skrupulatnego traktowania, jakiegobym w domu w żaden sposób mieć nie mógł. Mam więc nadzieję, że tu rozstrzygnie się ze mną pytanie— o byt lub zmarnowanie się.—Wybacz Pani, że tyle piszę o sobie, lecz jeżeli Pan Bóg powoła mnie do siebie, będziesz Pani mogła zaręczyć, że oddawna byłem zdecydowany i spokojny. — Naturalnie, że w takiem usposobieniu niewiele się tam myśli o literaturze. — W tych dniach dał mi Lenartowicz „Dęboroga“ i leciutką rekomendacyę doskonałości owego dzieła—a jak się Pani przekonasz, jest to blade naśladowanie „Mohorta“ Wincentego Pola.—Szkoda, że Syrokomla zaczyna naśladować innych, i już podobno całkiem przestał być sobą. A jakież te były wyborne jego utwory, kiedy pisał sam z siebie.—Dziś po większej części wszyscy w pierwszej rzeczy mają talent — dalej talencik — który przy dwóch, trzech wieczorach zupełnie się zaciera.

Miałem bardzo wiele i długich listów pisać do Pani, ale najlżejsza praca umysłowa stała mi się tak ciężką, że na ten raz przestaję na zawiadomieniu Pani — że jestem na rozdrożu. Będzie bardzo szczęśliwa chwila, jeżeli sam własnoręcznie pisać do niej będą mógł.

Dobra Pani, rodzicom moim nie udzielisz tej

smutnej wiadomości—chybaby wtedy, jak już i pogrzeb dokonany będzie.—Za dni czternaście napiszę Pani kilka wyrazów — czy dalsza droga moja idzie na prawo czy na lewo. Za samą wiadomość o zdrowiu i rzeźwości drogich rodziców, brata i chłopców jego, nie potrafię dosyć wyrazić mej wdzięczności. Co to jest, aby poczuć — trzeba być emigrantem przez kilka lat przynajmniej! Bóg z Panią i z nami!

Józef Bogdan Dziekoński".

Podpis własną—drżąca położył ręką.

W czternaście dni potem odbieram list z Paryża, podpisany tąż samą obcą ręką, co poprzedni. Otwieram go... i otóż co zawierał:

„Paryż, 11 lipca 1855 r.

Aux Batignolles Rue Lemercier 28.

„Wypełniając wolę mego przyjaciela, Bogdana Dziekońskiego, miałem zaszczyt pisać do Pani, powtarzając jego własne wyrazy, które on podpisem swym stwierdził. Dziś, niestety, czuję się w obowiązku smutną Pani przesłać wiadomość... Przyjaciel Pani i mój pożegnał nas dnia 3 b. m. o godzinie ósmej wieczorem, w szpitalu w Beaujon—gdzie na jego żądanie, na dwa dni przed śmiercią przewieziony został. Spodziewał się mieć tam lepszych doktorów i większe staranie — jakiego mu sam jeden, mimo najszczerszej chęci, dać nie mogłem.— Choroba jego była płucną... i tylko cud byłby go mógł ocalić.

Nie będę rozwodził się nad stratą jakąśmy ponieśli—jaką kraj poniósł—bo Pani sama to lepiej odemnie uznać potrafisz. Żal po nim jest między nami ogólny i szczery — że człowiek, który Polskę tak gorąco kochał i tak wielkiemi obdarzony był zdolnościami, nie mógł być zachowanym dla Polski. Najlepszym dowodem tego powszechnego uznania był obchód pogrzebowy ś. p. Bogdana, na który współbracia nader zebrali się licznie. Pomiędzy nimi byli także: generał Henryk Dembiński i pułkownik Różycki.

Po złożeniu ciała do grobu, generał Dembiński w serdecznych przemówił wyrazach—czem nam przypomniał, że bez Ojczyzny, ale nie bez Ojców jesteśmy: że łańcuch jednych nieszczęść i nadziei w jedno spaja nas braterstwo, bez którego myśl żadna wykonania, żadna praca pożądanego nie ma skutku. — Szanowny starzec nazwał ś. p. Bogdana „przyjacielem swoim"—i dziękował za współczucie dla zmarłego zebranym. Obok stał pułkownik Różycki ze łzą na źrenicy.

Zwłoki przyjaciela naszego złożone zostały w grobie polskim, gdzie tylko zasłużeni Polacy składani bywają. Miejsce krótki oznacza napis: imię, nazwisko, rok urodzenia i dzień śmierci.

Rękopisa jego—pozaczynane powieści—notatki— zapiski... wszystko, z rozkazu jego, przy nim, w obec kilkunastu świadków spalić musiałem.—Paliłem a płakałem, że palić je muszę. Zatrzymałem tylko nominacyę na wojskowe stopnie w Badeńskiem otrzymane—i polecenia różne od rządów włoskiego i badeńskiego w r. 1848.— Nadto kilka ry-

sunków niewykończonych, które zostawił do mojego rozporządzenia — a między temi i własny portret przez siebie zrobiony, mnie na pamiątkę ofiarował. Jest to portret w karykaturze, ale bardzo podobny, zrobiony na miesiąc przed śmiercią.

Ostatnie trzy miesiące mieszkaliśmy razem— i dzieliliśmy się wszystkiem... A nie mogę tu pominąć generała Dembińskiego, który, widząc położenie nasze, przychodził nam z pomocą o ile możność dozwalała. W jego notatkach ostatnich znajdują się krótkie słowa błogosławieństwa dla Pani, jako tyle przyjaznej mu — i za wiadomość o rodzicach jego i familii, oraz przewidywania zbliżającego się kresu życia.

Pani oddaję do woli w jaki sposób uwiadomić rodziców i familię o stracie, którą poniosła"...

Aleksander Panosiewicz.

Nieskończenie żałować należy rękopisów, które p. Panosiewicz popalić musiał. Czemuż go nie zaklął w imię Polski — że Polsce te notatki przydać się mogą — a byłby się zgodził zapewne, ażeby ocalały.

„Paryż, 24 lipca 1855 r.

„...Każdy z nas ma pewną wiarę świętą, nieomylną w zmartwychwstanie Polski — ale któż potrafi bliższe dać określenie?! — Ztąd wyradzają się niesłychane cierpienia — z jednej strony sumienne przekonanie, z drugiej niecierpliwość, tęsknota—

walka, prowadząca do szpitala — do grobu... Dziś silny, jutro upada dotknięty smutną wiadomością. Wszyscy pracują, — a skutków pracy nie dojrzysz. Chodzą jakby w ciemności, a drogi prostej, czystej, napotkać nie mogą. Błądzą — błądzą... Niema właściwie kogo i winić, gdyż wszedłszy wewnątrz siebie samego, sądzić drugich niepodobna. Z boleści takiej najczęściej wyradza się rozpacz—bo i kiedyż ona w radość przechodzi?—

Tak było i z Bogdanem: tęsknota, niecierpliwość, często i zwątpienie jego ognistą ogarniało duszę— tlał powoli, aż zgorzał i zasnął na zawsze. Wiedział i czuł swój koniec na trzy tygodnie pierwej. Przed opuszczeniem mego mieszkania wyrzekł:— „Jeżeli dziesięć, dwanaście dni przeżyję w szpitalu przy bardzo wielkiem staraniu lekarzy, wtedy jeszcze lat parę żyć mogę, ale cztery, pięć, to najwięcej".

Na kilka miesięcy przed zgonem, wymogłem, że się do mnie sprowadził—i już go z oka nie spuszczałem. Było przez czas pewien zupełnie dobrze. Pisał, rysował— pracował — był wesoły, swobodny, uczynny—i takiej nadziei dla przyszłości Polski, jaką niewielu posiada. Niestety! niedługo to potrwało—bo z wiosną rozwinęła się gwałtownie choroba, której się bronił całą siłą duszy, właściwą takim charakterom... Skończył jako prawy Polak, wierny wszystkim prawom chrześcijańskim.

Kochał rodziców i brata całą duszą—i tęsknił za niemi boleśnie. — Załączam Pani kartkę wspomnianą z jego pugilaresu — gdzie własną ręką na *łożu śmiertelnem* błogosławił Panią, żeś mu o nich

wiadomość przesłała. Będzie to dla Pani ostatnia pamiątka od zgasłego przyjaciela i dowód jego przyjaźni.

Posyłam Pani także małą rycinkę—gdyż między bardzo ograniczoną liczbą i małej wartości, nic innego łatwiej przesłać się nie dało.

Do ułatwienia zacnych Pani chęci dla nieboszczyka przyłączam nekrolog—którego tutaj drukować wahano się dla partyjnych i koteryjnych widoków. Może Pani posłuży do wyciągnienia zeń niektórych wiadomości o Bogdanie— oddając Pani zupełną wolę, co postanowisz z tem zrobić"...

Aleksander Panosiewicz.

Rycinka wyobraża dwoje dzieci: dziewczątko i chłopczyka. Dziewczynka siedzi na ziemi, chłopczyk stoi, a oboje patrzą z tęsknym wyrazem za stadem odlatujących jaskółek w stronę północy— jakgdyby z niemi także pociągnąć pragnęły.

Dokonałam smutnego obowiązku, zawiadamiając rodziców ś. p. Bogdana o śmierci syna. I podałam dla przyjaciół i znajomych krótką o zgonie jego wiadomość do gazety W. Ks. Poznańskiego.

A tutaj domieszczę streszczone wyciągi z nekrologu i listów, mogące kiedyś do obszerniejszego życiorysu posłużyć.

Józef Bogdan Dziekoński, urodził się w Warszawie roku 1815. Był synem dyrektora gimnazyum

Tomasza i Tekli z Błociszewskich Dziekońskich. A zakończył życie 3 lipca 1855 r. w szpitalu Beajon w Paryżu.

Po ukończeniu szkół w Warszawie, zostawał Bogdan przez lat kilka na uniwersytecie w Dorpacie i Królewcu, gdzie słuchał medycyny. A później doktoryzował się w Moskwie nie w Dorpacie, z nakazu władz rządowych, jako podejrzany o rozszerzanie ducha narodowego, pomiędzy młodzieżą. Jako lekarz nie praktykował nigdy.—Chemią zajmował się z zamiłowaniem.

Będąc na uniwersytecie odmawiał sobie wszystkiego, a obdzielał przez ojca nadesłanym mu funduszem ubogich studentów. Sam mieszkał pod strychem, w jednej chodził sukni i najskromniejszą żył strawą. Nad wrodzoną tęsknotą zapanować nie umiał, która często gnała go z miejsca na miejsce. Z Dorpatu puścił się nieraz nagle do domu rodziców, by ich uściskać, a potem i zaraz powrócił znowu.

Smutny nader wypadek w tym bycie uniwersyteckim na całe jego wpłynął życie — bo tęskne, bolesne pozostawił wspomnienie.

Nieraz ta tęsknota napadała go i w Ustroniu, u rodziców nawet, i wtedy pobiegł — nie pytając o fundusz na drogę—w kraj szeroki, daleki, polski. A po drodze, po wioskach — (jak to już powiedziałam poprzednio) — malował Świętych, stroił organy i naprawiał zegary, bo do wszystkiego miał zdolność.

Miłość kraju przewyższyła w nim każde uczucie, a pełen wiary w świętość sprawy i przyszłość

Polski, biegł wszędzie na jej usługi, gdziekolwiek mu najlżejsza zabłysła nadzieja. I przekonany, że Polska tylko własnemi dźwignąć się może siłami, pragnął to przekonanie pomiędzy młodzieżą i ludem utwierdzić.

W ciągu wędrówek swoich po kraju całym, od Finlandyi do Karpat, daleki od obawy o własne bezpieczeństwo, wszędzie to zdanie swoje otwarcie wygłaszał czyli to po dworach zamożnych, po zaściankach szlacheckich, czyli też po chatach wieśniaczych. I wszędzie w sercach polskich, polskiej szukał ojczyzny — o jej byt pytał, azali tu krańce ostatnie kraju, żywa strażnica dawnej Piastów dziedziny.

Powieści jego „Sędziwoj" myśl ta przewodniczyła. W niej on złożył treść swojego widzenia: nie w skarbach złota, ale w skarbach ducha, odkrywając narodowi potęgę, nie w martwej materyi, ale w życiu i pełnem działaniu, przynależnem mężom silnej woli. — Z natury poeta, kiedy serce jego bólem tego, co widział, ugodzonem zostało, wysnuwał fantastyczne obrazy, na tle których łza gorzka spoczęła. Albo zabierał pędzel i paletę i biegł w kraj daleki — gnany żalem — szukając wśród niw zielonych i lasów— wśród ludu prostego, na tę chorobę lekarstwa.

Bogdan pisywał niemal do wszystkich pism czasowych warszawskich. „Biblioteka Warszawska" zamieściła kilka jego powieści, które podobały się bardzo. Pomiędzy temi zajmowała szczególniej „Siła woli," traktująca o magnetyzmie, którego wielkim był zwolennikiem. Recenzye jego odznaczały

się wytrwałością sądu i estetycznem poczuciem. Jako współredaktor „Dzwonu literackiego" wielce był troskliwym o powodzenie pisma. Z języka francuskiego przetłomaczył: „O naśladowaniu Jezusa Chrystusa."

Z nowszej dramatyczno-poetyckiej literatury niemieckiej pociągał go niezmiernie dramat Hebbel'a, „Genowefa," dziwną oryginalnością, czemś całkiem odrębnie pięknem, to urokiem, religijnych, miękkich uczuć niewieścich, to siłą namiętnego, dzikiego porywu i świeżością porównań. Przeczytaliśmy z nim utwór ten w ściślejszem gronku z wielkiem zajęciem.

— Niemcy nie wiedzą co mają—powtarzał—nie umieją ocenić tego utworu, może przez antagonizm do katolicyzmu. Obcy tylko Anglicy nań zwracają uwagę.

I miał słuszność. Bo gdym w lat kilka potem, po księgarniach berlińskich „Agnes Bernauer" szukała—tragedyę zachwaloną w „Revue des deux mondes"—odpowiedzieli mi: „Nie znajdziesz tu pani Hebbel'a, nie cenią go tu, *denn er ist zu katolisch*. Później Hebbel ciężko zawinił wierszem swoim na koronacyę króla Wilhelma I-go, gdy nas, Czechów, i t. p. ludy *Die Bedzintenvölker* nazwał; uważając narody czasowo ujarzmione, jako karyatydy społecznego ogromu. O srom poecie, który w ten sposób poniewiera dar Boży!

Ale wracajmy do Bogdana Dziekońskiego.

Rok 1846 przebolał, czując duszą całą i rozumem niewczesne—nieoględne porywy — Bóg wie *czem* i jak wywołane!... Byłby je życiem swojem

chciał powstrzymać...—i czynił pod tym względem co mógł.

Potem zaszły niebezpieczne a ohydne denuncyacye—jak to w powyższych powiedziałam „Wspomnieniach" — i Bogdan Dziekoński kraj ukochany opuścić musiał, bez pożegnania nawet rodziców, których tak bardzo kochał.

Na tułactwie nowe dlań rozpoczęły się walki. Z gorzką boleścią patrzył się na życie wychodźtwa... i serce jego na wszystkie rwało się strony, by łagodzić dolę cierpiących—a niejednego z toni podźwignąć.

Wrażeniowa jego dusza, skłaniająca się mimo własnej wiedzy do mistycyzmu — pociągnęła go do nauki Towiańskiego...—i stał się gorliwym jego adeptem.

Nastał rok 1848 — rok obietnic wielkich — a większych jeszcze zawodów, mar niedościgłych nadziei. Bo zdawało się, że godzina bohaterstwa wybiła—że ludom zbawcze zajaśniało słońce. Więc i Bogdan pobiegł dzielić losy walczących.

Udał się z Adamem Mickiewiczem do Rzymu, gdzie poświęcenie chorągwi polskiej pozyskali u Ojca św.

Następnie, w celu formowania legionu polskiego i prowadzenia interesów tegoż, wysłany został z pełnomocnym ministrem Włoch całych, Trappoli, do Paryża. Tutaj młodzież pod sztandar zaciągał polski, znosił się z władzami francuskiemi, utrzymywał korespondencye — słowem, był prawą ręką Trappoli'ego.

Potem stanął w szeregu. Służył jako prosty

żołnierz—często przez kolegów postawiony na czele, a po boju znowu prostym stał się szeregowcem.

Po skończeniu kampanii włoskiej, udał się w Badeńskie. Pozyskał tamże rangę majora — o czem przed najzaufańszymi przyjaciółmi nie wspomniał nigdy, i dopiero po śmierci jego p. Aleksander Panosiewicz nominacyę tę znalazł.

Po wojnie badeńskiej, udał się Bogdan Dziekoński do Szwajcaryi — i ciężką pracą na biedne zarabiał życie... zostawszy bez potrzebnego odzienia—o głodzie.

Nakoniec spotkał tamże jakiegoś zacnego obywatela, który mu polecił zdjęcie planu swojego majątku. Zabezpieczył mu wygody—pokochał szczerze—i wynagrodził sowicie. Byłby go nawet chętnie na zawsze przy sobie zatrzymał. Ale wieczną tęsknotą trawiony Bogdan wybyć wśród obcych, jakkolwiek tyle przyjaznych, nie mógł... i do Paryża podążył, by przynajmniej twarze braci-Polaków zobaczyć. Fundusz z sobą przywieziony nie na długo wystarczył—ile, że go i z drugiemi podzielał — więc znowu sroga z nim zbratała się nędza. Zarabiał o ile mógł, jako rytownik — jako malarz jarmarczny, zrzekłszy się wszelkich do artyzmu pretensyi.

Później poznał go Aleksander Panosiewicz — uznał w nim od razu ów charakter niepospolity, serce i duszę, które wyróżniły go wszędzie. Otoczył go przyjaźnią i przygarnął do siebie. Pospołu umyślili pozbierać wszystkie grobowce polskie, jakie się gdziekolwiek znajdują; odrytować je, *dołączyć* do nich, o ile możność dozwoli, biografię

każdego emigranta — i tę pracę na pamiątkę Martyrologii polskiej ofiarować krajowi. Tymczasem stan zdrowia jego pogarszał się z dnia na dzień — i rozpoczęte dzieło do skutku nie przyszło.

Śmierć jego była śmiercią prawdziwego chrześcianina-katolika. Przytomność zachował aż do chwili skonania. Myślą jego ostatnią byli rodzice, brat, dzieci jego, i Polska! której przyszłość w promiennem błyszczała mu świetle.

Ciało złożone w grobie polskim na cmentarzu w Montmartre—w miejscu, gdzie niegdyś waleczne zastępy Polaków, najwierniejszych przyjaciół Francyi, broniły jej mężnie przeciw najeźdźcom. A dziś grzebią się tam popioły polskie, jakby na świadectwo, że Polska i grobem sprzymierzyła się z Francyą.

Do mojego albumu zrobił mi Bogdan Dziekoński jeszcze w Warszawie, fantastyczny obrazek: Turek siedzi nad księgą mądrości, po której wąż się wije, a po za nim unosi się widmo z wytrzeszczonemi oczyma — i widać nogi raka. Na drugiej stronie kartki napisał — znać w związku z ryciną:

„W epokach największego skażenia, kobiety najwięcej są lekceważone. Im bardziej w formie rządu lub bezrządu przemaga niewola, tem one więcej stają się służebnicami niewolników. W starych, wolnych Niemczech kobiety były świętemi i podo-

bnie jak gołębie Jowiszowe Dodońskie, wydawały wyrocznie. W Sparcie, w Anglii i w pięknych średnich wiekach rycerskich, kobietę otaczało poważanie prawdziwych mężów — bo ci byli wolni i silni.

„W epoce siły naszego narodu, kobiety rzadko występowały naprzód, ale zawsze jak duchy opiekuńcze, niewidzialne, macierzyństwem i miłością prowadziły bohaterów. Ponieważ jednak kobiety zawsze z formą rządu podnoszą się i upadają — uszlachetniają lub podlą, rząd zaś jedynie z mężów powstaje i trwa — przeto jest jawnem, że kobiety dopiero podług wzoru mężczyzn wykształcają własny charakter i następnych pokoleń. Dopiero uwodziciele tworzą uwodzicielki—a każde poniżenie kobiet tylko odbiciem podłości mężczyzn być musi. Wystaw bohaterów — a bohaterki jako ich narzeczone, wyjdą za nimi w pole. Tylko na odwrót, żadna bohaterka nawet miłością, z podłego nie zrobi rycerza.

„Jakże więc godną jest pogardy ciasna dusza tych ckliwych, niby znudzonych ludzkością modnisiów, wyrzekających i poniżających kobiety. Gdy tymczasem te ich skargi na nich samych spadają, a ich zniewieściałość, jako świadectwo własnych grzechów, na tem większą wydaje ich pogardę!

Jakżeżby taki wymoczek dzisiejszej epoki przed wzrokiem Spartanki lub dawnej Polki rozpłynął się i wysechł!

Józef Bogdan Dziekoński."

W Ustroniu
dnia 22 lutego 1845.

Aleksander Panosiewicz służył w kampanii węgierskiej pod dowództwem generała Dembińskiego; wyszedł z nim do Turcyi, gdzie przy jego boku i na wolnej stopie, jako i na internowaniu w Brussie i Kuthai aż do ostatniej zostawał chwili.

Pozostał z nim następnie i we Francyi—i jemu to podyktował generał „Pamiętniki" swoje. Nadto oddał mu i „Pamiętniki z kampanii węgierskiej," z dokumentami własnoręcznemi Kossuta, ministrów i generałów.

Albert Gryf.

Nader zajmującą była przez lat kilka korespondencya moja z Albertem Gryfem: Antonim Albertem Jaksa Marcinkowskim — z której tutaj pozwolę sobie kilka przytoczyć ustępów. Na artykułach podpisywał się także: Antoni z Nowosiołki — albo Antoni Nowosielski.

„Mostyszcze, 14 maja 1852 r.

„...Rzewuski ogłoszeniem nowych pism swoich upadł całkiem w literackiej nawet opinii. Dotąd można było mieć jeszcze jakąś nadzieję, dziś wszystko ustało. Kradzieże literackie z de Maistre'a dla każdego były widoczne. Dziś one są nieznośne kiedy cały drugi tom „Wędrówek umysłowych" jest zkalkowany na de Maistre'owskiej broszurze: „Essai sur le principe générateur des constitutions publiques." Żeby tak zepsuć dzieło pełne potężnych myśli, tak rozbarszczyć niegodnie nudną gadaniną, niedorzecznemi paradoksami, tysiąc razy już w „Mięszaninach," w przypiskach, dopiskach i „Kalejdoskopie" powtarzanemi konceptami, pożyczonemi zawsze i wypisanemi z dziwną... odwagą—to może oburzyć choćby z najzimniejszą krwią człowieka. —

„Teofrast“ to paszkwile—zwłaszcza też jeden na osobę takich przymiotów duszy, jakiemi nie poszczyci się, na nieszczęście, nikt drugi w całym kraju naszym! „Łaska i przeznaczenie“ — to łachmany... brudne i nieprzyzwoite, nędznym przepolszczone językiem. W którejże literaturze możnaby napotkać coś podobnego, jak „Rękopis znaleziony w arce Noego?!“ Smigielski, głowa wielka, nogi małe, widoczna nieumiejętność rozwijania idei. „Nie-bajki,“ bzdurstwa gotowe odstręczyć nas od całego romantyzmu i fantastyczności à la Hofman. Z tych kilku tomów przekonałem się ostatecznie, że Rzewuski jak najbierniejszego umysłu, że ma tylko dar szczególny podrażniania ludzi myślących.

Z nim i niepodobna wieść sporu, bo on ustawicznie obraca się jak chorągiewka, dziś chwali — jutro zgani toż samo. W przedmowie do „Mięszanin“ chwalił metodę historyczną Hegla; dziś Tom II-gi „Wędrówek“, gani ją i ogłasza tego za pozbawionego rozumu, coby godził się na nią...

Czy mąż Pani „Dzwon“ będzie wydawał nadal? Mam bowiem swoich kilka cudzych rzeczy, które radbym nadesłać. Mnóstwo moich artykułów zaległo w tece „Pamiętnika“, bo mam bardzo niepraktyczny zwyczaj przesyłać bruliony, więc dla siebie nie zostawię kopii, lubo że ojcu zawsze dziecko jego miłe. Tembardziej, że zostając w celibacie, nie mam w około siebie innej konsolacyi okrom myśli moich. Myśli moje — gwiazdy moje! Niech też Pani łaskawa nie łaje, żem się tu rozbrykał niezgrabnie, jak niemiecki profesor—rad jestem łapać chwilkę dobrego humoru, to taki rzadki

gość! szczególniej w zapylonej bibliotece. Niech kto chce chwali piękność zadumanego czoła, wolę ja uśmiech na pięknych ustach, albo w blasku oka. Ale spotkajże się tu z podobnemi powabami w zakurzonym gabinecie, kędy oprócz mnie, mułów i myszy żywej nie ma stwory.

Ściskając po przyjacielsku prawicę autora „Ramotek," przymawiam się, aby nam dalsze dał tomy..."

Do tego listu dołączoną była obszerna i gruntowna odpowiedź krytyczna dla Rzewuskiego (Wędrówki umysłowe) mianowicie też co do jego wystąpienia przeciw pomysłom Jana Chrzciciela Vico— niedrukowana nigdzie.

„Kijów, 25 września 1851.

„...Okropność pomyśleć jak to w nadobnej (?) literaturze francuskiej występek zwykle gra najgłówniejszą rolę: „adulterium" jest tu celem moralnym, do którego dąży cała akcya i około którego obraca się cały interes dzieła. — Czytelnik, a najczęściej czytelniczki wzdychają do tego, aby się uwieńczyła czysta miłość, którą krępuje okrutny mąż, niepojmujący całej poezyi miłości ku swojej żonie. Po takich elukubracyach, często napisanych czarownym piórem George Sand—jakże miło odpocząć na czemciś prostem, poczciwem, a prawdziwie serdecznem, prawdziwie uczutem—idącem wprost do serca...

Nie jest to wcale rozmiłowanie się w nas samych—raczej i my chorujem sercem—i nam czegoś *brakuje* — i my tęsknimy do czegoś — i z tej tę-

sknoty nie możemy sobie sami zdać sprawy dokładnie...

Często po przeczytaniu, czy to powieści czy romansu z życia paryskiego, którego nasze własne życie jest tylko (Chwała Bogu!) niedołężną kopią — często, mówię, uczuwałem i uczuwam nader smutne wrażenie — doznawałem czegoś ciemnego, ciężkiego —widziałem w sobie jakby przepaść bezdenną, której próżnia przerażała i tłoczyła duszę. Jeżeli przeczytane dzieło było wesoło napisane, to ta wesołość jeszcze dotkliwiej wrażała się w serce, tem boleśniej ona dojmowała. Wiek XIX nie umie się śmiać tak jak się śmiano dawniej, w prostocie ducha. Dziś śmiejemy się nasamprzód z siebie — potem już ze wszystkich, z tej masy właśnie, do której należymy ciałem i duchem. Jeżeli się odrywamy od tej całości, to tylko przez połowę, połowa zarażona zostaje przy niej, i dla tego śmiech nasz tem okropniejszy, tem więcej w sobie mieści goryczy. Dziś niema żartu, jest tylko ironia, jakaś zjadliwa, właściwa naszemu wiekowi: satyra wiekowi, co utracił swoją niewinność, co przejrzał i zobaczył wyraźnie rozdwojenie, jakie zaszło w życiu moralnem pomiędzy teoryą i praktyką, teoryą wysoką i moralną i praktyką poziomą, a niedołężną.

Z jednej strony widzi on twarz anioła, którego postać do nieba się wznosi; z drugiej spostrzega spodloną istotę, tarzającą się w błocie — i widzi, a nie czuje w sobie siły do przywrócenia zgody, ani też ma dosyć mocy, aby się oderwać od tego ideału, co unosi się nad nim w górze i nęci go do ojczyzny niebieskiej człowieka. Czuć piękno i świę-

to, a nie módz ich spełnić, świeżym zaprzeczać je czynem, to musi boleć, to musi piec, jak piecze kropla poświęconej wody skalane czoło szatana.

Z wielu przedmiotów, wchodzących w skład życia naszego i w skład romansu, jak odbicia tego życia środkowym punktem jest zwykle stosunek dwóch biegunów sfery rodzaju ludzkiego, kobiety i mężczyzny—sympatya — miłość—małżeństwo—typ kobiecy i typ mężczyzny — ideały—„pia desideria" i współczucie. Tu następnie przedstawiają się dwie odwrotne strony: złote marzenia poezyi i prozaiczne ich tłomaczenie powszedniem życiem. Bo my lubimy prozaizować poezyę i poetyzować prozę: zaprawiamy zmysłowość wonią z kwiatu ideału i poezyi; a poetyczne wrażenia przerabiamy na powszednie użycie.

W romansach francuskich miłość, to nie potrzeba duchowa serca, to tylko działanie natury. W Indyaninie zapał miłości ugasza się szklanką zimnej wody—najzjadliwszy sarkazm George Sand!— Najzabawniejszą rzeczą, że przedewszystkiem potrzeba kochać kogobądź... za ideałami nikt się ubiegać nie myśli. Kocha się więc jednego, drugiego, (iesiątego, i to zarówno w życiu i książce... Ale Bóg nie darmo dał wyższe pojęcia moralnego piękna. Przy naszej nicości chcemy się stroić w jego kształty — odgrywamy maskaradę ideałów, profanując je niemiłosiernie. Jakież to pole dla ironii zrywającej maski z tych zaimproizowanych bohaterów z bióra, kazernów i z zapreferansowego stolika wziętych. — Niemasz także nic przykrzejszego od tej ślepej miłości, a niekiedy udającej ślepotę. Gorzej wszelako

gdy rzeczywiście jest prawdziwa: gdy całem sercem wierzy w wyższość jakiejś poziomej istoty; gdy czyni poświęcenia dla tej pustej bańki—to cała ironia w akcyi, okropna, bolesna ironia! Czytelnik jeden jak fatum jakie widzi całą śmieszność, całą nikczemność tych wszystkich smutków i radości — tych łez, westchnień, cierpień i rozpaczy; widzi i mimowoli pyta siebie samego: dlaczego to nasze życie? — Czyż doprawdy nie jest ono niczem więcej jak tylko czczą maskaradą? Czyż w niem niema nic ani pięknego, ani godnego ofiary i miłości? — I ta miłość tak spodlona, miłość dla jakiegoś „L'âne de l'ânerie," markiza „de l'ancienne roche", jestże ona czemś pięknem i uszlachetniającem?—...Wedle mnie są dwa życia moralne—dwie strony charakteru człowieka, jedna powszednia, narażona na ustawiczne walki losu i okoliczności; druga wewnętrza, zwrócona do bożyszcza człowieka, do jego jaźni—jakby powiedział Trentowski. Do tego wszystkiego, co Bóg w nim zasiał, a co on wypielęgnował, wykarmił krwią swego serca, rozgrzał tchnieniem najświętszego uczucia. To wnętrze duszy człowieka, to jego kościół, ołtarz, na którym spełni się ofiara jego życia. Tu chroni się to wszystko, co on w sobie wyrobił i nabył myślą i doświadczeniem, tu zchodzą się i biją tętnem wszystkie strony jego charakteru; tu skupia się człowiek pod kilkoma postaciami; tu żyje on jako chrześcianin człowiek, mąż myśli, jako poeta-artysta, obywatel. Tu jego energia, zasady moralne, tu myśl jego skostniała w nauce, tu jego uczucie wlane w kryształowy puhar fantazyi, tu w tej bezgranicznej przestrzeni jego ducha, unosi

się anioł, jego idealna kochanka, którą on spodziewa się znaleźć w życiu. Wielka jest potęga serca i ciepła tego tchnienia Bożego: za jego powiewem jak na łące kwiaty na wiosnę rozwijają się i kwitną — kwitną na pociechę i radość temu, co je zasiał i do życia powołał—tak siła moralna może ożywić postać wymarzoną i uścisnąć ją.—Ale to wnętrze duszy, ta świątynia, to tajemnica, nikt doń nie wchodzi bez inicyacyi, a do inicyacyi niełatwo się każdego przypuszcza.—Zewnętrzna strona charakteru mężczyzny twarda, jak stal, zimna jak lòd, na pozór szydercza, wesoła—bo jest pewna rozkosz czuć w sobie głąb, w której tonie cała istność, i niewydania jej, niezdradzenia, ani słówkiem, ani spojrzeniem. Czuć świat w sobie i milczeć, czuć wielką ideę Bożą i nie dać jej na profanacyą—to rozkosz, ale cierpka bolesna rozkosz. — Wszelkie tajemnice potrzeba przeczuć, aby uwielbić. Kryją się one zwykle w pieczarach, w katakombach, jak Bóg-Człowiek krył się w grobie Józefa Arymatejskiego. Przyszedł anioł i odwalił kamień — i stanęła postać oblana Boską światłością. Niewiasty ciemne wzięły go za ogrodnika, ale dusza co tęskniła za niebem uczuła woń niebieską i poznała Pana. Jest to symboliczne wyobrażenie miłości, w rzeczach wysokiej sympatyi dwóch dusz szukających się dla wzajemnej pomocy. Przy takiem pojęciu wszelkie parodye miłości oburzają, albo wywołają jakieś bolesne uczucie...

„Mostyszcze Wielki Piątek 1852.

Strata Pani żywo dotknęła wszystkich. W tym *człowieku utraciliśmy* bowiem pisarza, który wyśmie-

wał wady, karcił obyczaje, a z tem wszystkiem pociągał serca do siebie: kazał się kochać. Do Pani mamy prośbę: zajmiej się dobra Pani biografią zmarłego, zebraniem szczegółów życia najdrobniejszych, ale rysujących charakter jego, albo takich, które wpłynęły na jego talent, na kierunek pism, wyobrażenia i t. d....“

Mostyszcze, 20 maja 1852.

„...Przeczytałem „Wawrzynę“. Piękna to powiastka, poczciwa, skromna, poruszająca serce, bez tych okropnych środków, jakich używa francuska szkoła. Jest to powieść nasza, prosta jak nasze życie, gdzie obczyzna jest jeszcze śmiesznością. Bo też najlepiej dowieść samym czynem, że serce jest wiecznie to samo, a wiecznie jego stara historya będzie nowa, dopóki nie wyprzemy się tych uczuć świętych, jakie cechować powinny nasze stosunki. Zawsze będziemy kochać, dopóki mieć będziem rodziców, dom, siostry, braci i ukochaną dziewicę. A uczucie to będzie to samo zawsze i pomimo to zawsze świeże. Jak kwiaty kwitnące jednako z każdą wiosną i wydające się nam każdą razą świeższemi, wonniejszemi, jak przedtem, chociaż ta wiosna jest taka sama co w roku przeszłym, taka jak w przyszłym jeszcze nastąpi. Jak natura jest wiecznie nową i piękną, tak samo jest natura serca naszego, wiecznie tu kwitną kwiaty i z pod śniegu i lodu wyglądają najświeższe pierwiosnki. Cała rzecz umieć patrzeć na to, co nas otacza, umieć rzucić na to życie powszednie artystyczny urok, umieć poruszyć poetyczną strunę w sercu czytelni-

ka, tak żeby on sam przypomniał sobie i serce i te łzy, co odświeżają oschłość duszy i ten zapał, co nadawał kiedyś wszystkiemu inny pozór. Poezya jest w nas, potrzeba umieć wydobyć ją z siebie i pokazać przez pryzmat jej i wiek i ludzi. Potrzeba umieć dobrać się do tajnika serca, w którym drzemie ona zapylona potrójną warstwą kurzu w spleśniałem czuciu. Bo najprozaiczniejszy człowiek był kiedyś młody, kochał, czuł, tęsknił, przeczuwał coś wokoło siebie wielkiego i był poetą. Walter-Skot najlepiej rozumiał tę wielką prawdę i najlepiej pojmował życie, życie tak twarde jak kamień, a przecież przy mocniejszem uderzeniu i z tego kamienia wydobędzie się iskra, iskra poezyi i zapału. I także z tej opoki twardej prorok jaki może wyprowadzić cały zdrój łez, zdolny nasycić spragnione dusze, którym tak duszno, tak ciężko na pustym świecie. Kropelka takiej poezyi w duszy jest największą pociechą. Często ja sobie pod tym względem przypominam słowa Jana Pawła: „Czasem człowiek dlatego tylko jest szczęśliwy, iż jest literatus". Pewnie, kiedy dusza jest pełna wiosny i świeżych barw światła, nic łatwiejszego jak roztoczyć wokoło siebie cały raj szczęścia, pełen powabu i woni, pełen zieleni i słońca. Ale dusza nasza nie zawsze może wydychać z siebie tę młodość, to szczęście, jakiemi pełna jest na początku życia. Przychodzi czas kiedy pomiędzy tem, co jest w nas i tem, co jest po za nami, staje doświadczenie zimne, prozaiczne, nudne, tęskne. Tu dopiero zaczyna się okres, w którym poezya życia duchownego tłomaczy się prozą życia powszedniego. Jedna religia

chrześcijańska może tylko nas powstrzymać wtedy od rozpaczy: Ona każe nam pokochać i ten świat tak różny od tego, jakiśmy sobie byli stworzyli.— Ona dokaże tego, że z tych torm zmartwiałych potrafimy odtworzyć piękność w pośród brzydoty ukrytą.

Życie najlepszym jest apostołem wiary: kiedy duszę masz pełną tęsknoty do doskonałości, a znaleźć jej nie możesz wokoło siebie; kiedy serce twoje gotowe przylgnąć całą duszą do czegoś wielkiego, a znajdujesz tylko same poziome drobnostki, wówczas mimowoli zwracasz się do bezdennych toni błękitu, co się nad tobą rodzielą, co się haftują w nocy gwiazdami, z których najmniejsza nieskończenie przenosi wielkością ziemię naszą i tam szukasz tego, czegoś tutaj znaleźć nie potrafił: piękna zgody, spokoju. I po każdym srebrnym i złotym promyku kropelka pociechy zejdzie do ciebie. Jakoś mimowolnie wiara ciśnie się do duszy, że tam jest spokój, miłość i szczęście.

Zarzucano mi brak religii. Dusza moja zawsze była religijną, zawsze szukała ona czegoś nieobjętego, czegoś, czemby mogła napełnić bezdenne przepaści serca. Szukała w filozofii i nie znalazła tego. A tymczasem apostołowie owi dowodzili mi tylko dumy i głupoty własnej. Jedna tylko dusza może apostołować dusza, w której wiara tak jest wielką, że nie pomieszcza się w niej i raczej miłością bliźniego na zewnątrz płynie... Takim apostołem jest Lacordaire, syn XIX wieku. Zna on dobrze chorobę, jaka wysusza dusze braci jego; zna on doskonale każdą ranę, każdą wątpliwość duszy-

go ducha, co czuje wreszcie swą nieudolność, a milczy i wstydzi się do niej przyznać. Czy masz Pani „Conférences Lacordaire'a"? Jeżeli nie, sprowadź je Pani sobie i przeczytaj. Piękniejszej nie znam książki. Wszystko w tym człowieku jest wielkie, jak jego wiara, która jest tak mocna, że od razu czujesz, że ten człowiek ma to, czego ci właśnie braknie—przekonanie! Wie on dobrze, jak ma przemówić do ciebie, wie gdzie cię boli, wie gdzie ma przyłożyć balsam. Szukałeś nauki i znajdziesz u niego wielką; to coś dotąd miał za coś, w jego ręku przemienia się w dziecinne cacko, bawi się niem i odrzuca. Szukałeś miłości i znajdujesz ją u niego tak wielką, że obejmuje ona ludzkość całą. Wszystkie wątpliwości jakie tylko dręczyły duszę twoją własną i myśl całego wieku, on rozwiązuje, stanąwszy na tej górze, na której rozpięto Chrystusa i opierając się na krzyżu, na godle ofiary, której dziś braknie, której nikt nie pojmuje i dlatego nie pojmuje ani życia, ani świata. Wiele to poezyi pod tym habitem dominikańskim! wiele to nauki w tej głowie opasanej wieńcem włosów, w kształcie korony cierniowej; wiele to ognia w tej piersi, która wylewa się na zewnątrz potokami wymowy dziwnej, raz gorącej jak lawa, to szyderczej jak wiek XIX-y, to słodkiej jak słowo Ewangielii, to prostej, jak modlitwa dziecięca. Wymowa jego dla tego jest tak potężną, że on kocha i wierzy, a miłością i wiarą cudów dokazać można. To tylko mieli apostołowie i świat nawrócili... Ale przepraszam za to kazanie, wyrwało mi się ono niechcący. Z tego, co *tu Pani znajdujesz*, odgadniesz łatwo stan mojej du-

szy; weź Pani taki stan człowieka i powtórz go w stosunku do ludzi, otocz życiem, zawiąż dramatyczną akcyę, może być z tego ciekawa i zajmująca powieść. Światło i cienie szczególne, coś w rodzaju Girardo della Notte, albo Rembrandta...“

Konferencye Lacordaire'a sprowadziłam sobie i rozczytywałam się w nich z uroczystem uczuciem.

Mostyszcze 14 października 1852.

„Wszyscy tu wyglądamy biografii ś. p. Augusta i dzieł pośmiertnych. O nową edycyę „Ramotek“ dopytują się po księgarniach. Cóż Pani sama teraz piszesz? Wszak kiedy smutno i tęskno na świecie, wówczas najlepiej stworzyć sobie świat nowy, lepszy i piękniejszy...

„Kwestarza“ Pługa wątpię, abyśmy oglądali kiedy, bo cenzura nie pozwala wydawać pism zbiorowych.

Sąd Pani o „Lizdejce“ zupełnie zgadza się z moim, który przesłałem do „Gazety Warszawskiej“. Wątpię tylko czy go zamieszczą...

Wogóle nie udaje mi się z drukiem: dwie prace leżą w cenzurze petersburskiej, już od półtora roku. Czytałaś Pani w „Dzienniku“ „Pamiętniki kuratora magazynów“? Przygotowuję tom pierwszy tej powieści do druku, wraz z opisem podróży po Ukrainie i po południowym brzegu Krymu, który ogłoszę pod tytułem: „Stepy, morze i góry“.

Pomału pracuję piórem, więcej czytam, uczę się i częściej wglądam w towarzystwo ludzi...

Pani nie znasz Ukrainy. Piękny to kraj i ciekawy, nieobjęte okiem stepy, czarne lasy, jary, rzeki, złote niwy pszenicy i pola puste, przez które ciągną się jakieś tajemnicze wały bez końca, koncentryczne kurhany, mogiły, na których często sterczą posągi, należące do indyjskiego systematu wiary! Lud prawi dziwne bajki, obchodzi pamiątkę świąt pogańskich, a w ustach jego brzmią tęskne, rzewne pieśni, rozlegające się daleko w stepie. W moich „Pamiętnikach kuratora magazynów“ chciałem malować Ukrainę jaką jest, ziemię i ludzi, lud i szlachtę, ciemną masę i wybijające się wyższe indywidua, bo te są piękne choć rzadkie...“

„Mostyszcze, 25 września 1853 r.

„Radbym wiedział co myślą uczeni wasi o moich artykułach, mających na celu „Starożytności ukraińskie“, osobliwie odwieczne kurhany, wały i mogiły nasze, będące dotąd zagadką archeologów. Chciałbym, żeby te artykuły p. Lucyan Siemieński, Ukrainiec rodem, przedrukował w „Czasie“, objawiając o nich zdanie swoje. Możeby to spowodowało odezwanie się Augusta Bielowskiego, możeby zwróciło zdanie moje uwagę uczonych czeskich, nie z powodu trafności sądu, ale posłużyłoby może do napisania czego nowego o tej rzeczy. U nas poczciwy Lipomann (1832 r.) zastanawiał się w odrębnej książce nad usypami i mogiłami ukraińskiemi; przepisał w tym celu niemałą część historyi polskiej Naruszewicza— *gadał*, gadał, nic w końcu nie wypowie

dział, i przeniósł się na tamten świat po rozwiązanie ostateczne zagajonej zagadki. Nic to nie było dziwnego, bo to był bardzo poczciwy starzec, ale mąż wcale nieuczony. Rzecz osobliwsza, że Michał Grabowski w swojej „Ukrainie" przepisał prawie całego Lipomanna, który przepisywał Naruszewicza, wiedząc dobrze, że wszystko to do niczego nie posłuży. W dziele Grabowskiego bardzo ważną oceną są same tablice wykopalisk starożytności naszej, wyszukanych z rozkazu gubernatora cywilnego kijowskiego Bakleja, na rozkaz którego w całej gubernii były przedsięwzięte rozkopywania odwiecznych mogił ukraińskich. Niewiele mamy szczegółów, ale zawsze wiemy teraz co się zawierało w mogiłach, jak były urządzone groby; wiemy nareszcie, że nie wszystkie usypy dokonane były w celu przysypania wielką wyniosłością kości zmarłego bohatera. Układ grobu ten sam co u Etrusków, u Greków, u Bosforów. To ważny fakt bardzo, bo pokazuje, że ludzkość wszędzie przechowywała jednę religijną tradycyę. Ta jedność tradycyi najwięcej mnie zajmuje teraz: widzę ją w gusłach ukraińskich, które są dosłownie te same, co gusła Rzymian, te same co w Szkocyi; widzę to w obrzędach religijnych i uroczystościach weselnych—i w tych co się dokonywują przy narodzeniu dziecka, przy pogrzebie i przy założeniu chaty. Jasną jest dla mnie rzeczą, że ludzkość żyła i żyje tradycyą. Niektóre rezultaty moich badań ogłosiłem w „Dzienniku Warszawskim", w tym celu, że może to wywoła odezwanie się jakiego jeszcze pisarza—Jaszczyńskiego, Bielowskiego, Siemieńskiego. Ale nie, wszyscy mil-

czą, a przedmiot tak ważny, tak ciekawy, tak zajmujący!— Poślij łaskawa Pani to, co piszę, autorowi „Muzameritu"—niech wiem, co o tem myśli.

Teraz co do nowości literackich. Najwięcej zajmującą książką u nas są wydane w Warszawie „Gawędy i rymy ulotne" Władysława Syrokomli. To tak miłe, tak świeże, tak naturalne, tak nasze, że się tego naczytać niemożna. To, co pisze Syrokomla, płynie mu z duszy i zdaje się, że to człowiek, co nic nigdy nie czytał, który nic nie wie co się dzieje za granicami jego Litwy, porosłej jodłami, sosnami, pokrytej zielonemi łąkami, żółtym piaskiem, szyszkami borowemi, błotem, oczeretem, grobelkami bez końca, albo śniegiem, po którym czernieją ciemne smugi lasów sosnowych. A piękne to obrazy w rymach poety, bo je wyjął z najcieplejszego zakątka swojego serca. Osobliwsza dusza maluje się w tych „Gawędach i rymach". Wesele serdeczne i naturalne, jakiś litewski humor, słowa proste, niewyuczone z książki francuskiej frazesa. Pogoda szczególna, zadowolenie dziwne na poetę, (jak my go przywykliśmy sobie wyobrażać), serce czułe, kochające wszystko i wszystkich: świat, ludzi i swoje szyszki borowe—i swój stolik sosnowy, stojący koło kominka. To idylla, ale idylla nie Floryanowska, lecz poczciwego, pięknego serca. W tem żywem uczuciu widzę chrześcijańską duszę, cechę prawdziwej miłości religijnej, spokoju, który jedna wiara dać tylko może. — Syrokomla dziwnie wydaje się w swojej szaraczkowej kapocie, z wybrykami dobrego humoru na ustach, przy tej rzeszy chudych, *wymizerowanych*, płaksiwych poetów szkoły Byro-

nowskiej. Syrokomla jest oryginalny, swój. Dziwnie pięknie odbijają w duszy jego pierwiastki naszego szkolnego, ale razem ludzkiego życia: natura, ludzie prości, przeszłość stara, i dla tego samego jest on poetą nie z rymów, a z rzeczy i serca. Syrokomlę potrzeba koniecznie kochać, bo czujesz w nim — powtórzę to raz jeszcze — duszę chrześcijańską. Z taką duszą prawdziwie kochającą wszystkich ludzi — znam tylko jeszcze dwóch takich ludzi: doktora Aleks. S.—i obywatela L. J.

Teraz o Deotymie. Jest to, Pani, dziwny fenomen, i każdy, przeczytawszy jej improwizcyę, widząc, że to jest utwór młodej dziewczyny, długo nie wie, coby o tem powiedzieć. Zjawiska tego nie można sobie objaśnić bez wyrazu, oznaczającego dziwny, tajemniczy, niepojęty nastrój ducha ludzkiego, bez słowa natchnienia. Nie jest to dzieło jakiegoś włoskiego „improvisatore", w którem cała zasługa, dźwięk rytmu melodyjnego, słowa Italinie!—tu myśl głęboka, często mistycznie, zdumiewająco objawia się w potoku dziwnego rytmu, oryginalnego wiersza. Dziwne, niespodziewane zwroty myśli, jak gromy i błyskawice buchają z pod ciemnej, tajemniczej zasłony sybilijskiego wiersza.— A potem przesuwają się obrazy głębokie, czyste, pogodne; potem płyną myśli wydarte, zdaje się z głębi duszy człowieka — potem następuje wysoki polot ducha nieśmiertelnego po za krańce widome świata, a z tem wszystkiem panuje tam jakaś dziecinna, dziewicza prostota i osobliwsza czystość formy, coś takiego, co stawi Deotymę w rzędzie antycznej postaci Sybilli „polytheismu" i proroku-

jącej dziewicy chrześcijańskiej. Pomimo, że chciałbym kiedy być obecnym chwili tej zadziwiającej improwizacyi, że chciałbym oczami memi widzieć tę błyskawicę zapalającą się w duszy i buchającą na zewnątrz ogniem słowa i wielkiej myśli, pomimo to, mówię, nie rad jestem, że ta dusza wysoka i natchniona—idzie za tym popędem improwizacyi. Improwizacya wielką jest w sobie, cudowną w swojem poczęciu, ale w kraju swoim ulega pomniejszym warunkom, które łatwo bardzo mogą zamącić źródło poezyi. Podziwiałem improwizacyą „Kamienie“.— Deotyma wyszła zwycięzko z tej osobliwszej gry salonowej zadawania temy trudnej—płaskiej. Ona z tego martwego słowa zrobiła bogaty w kolory i obrazy fantazyi poemat. Posłużyła jej do tego pamięć, umiejętność, oczytanie, ale to są przymioty które ukrywać powinna improwizatorka. To ją z poza krańca sprowadza świata, wprowadza do sfery dusznéj i zapylonej biblioteki. Improwizatorka to geniusz żywego nie martwego słowa. Na jeden raz było to dobre, potem może się to zmienić w złą i fałszywą manierę. Na nieszczęście erudycya, tak konieczna do wywiązania się z trudnego zadania, znowu występuje w jej prześlicznej improwizacyi „Niedziela“. Tu myśl wielka wieszczych tygodni Bożych rozwija się szeroko, ale czysto zasklepiona w cytatach ksiąg chaldejskich, astronomicznych kluczów i t. d. To już nie improwizacya to już niejako rozprawa. Aż żal mi było tej biednej Deotymy, którą tak nielitościwie męczą wysokie poloty duszy! Młodość sama z siebie pochopną jest do okazania nauki, a Deotyma tego nie po*trzebuje, bo ma* głębokość myśli, treść, krew, ton

życia wewnętrznej wiedzy, co wprawdzie ożywia sobą księgi ludzkie, systemata mędrców, ale sama jest niezależną, płynie tak jak rzeka w wielkiem łożysku ludzkości, płynie nacechowana potężną pieczęcią objawienia Bożego. Chciałem wziąć pióro i pisać do Deotymy: „Nie zasklepiaj się, Sybillo, w słowie martwem! Czytaj jak prorok w księdze Bożej, bierz ztamtąd zgłoski złote, te wiecznie żywe zgłoski, krążące ogniem po niebie! Czytaj w duszy, czytaj w świecie i wypowiedz słowa żywe! Ty stoisz wyżej od mędrców. Twój horyzont obszerniejszy. Ty lepiej od nich pojmujesz wielką księgę objawienia. Co to np. za uroczystość w tym oto początku:

Tydzień lśniący piętnem Bożem,
Tydzień dni, lat i stuleci,
Jak tęcze nad czasów morzem
Siedmioma wstęgami świeci.
Wszystkie inne chwil podziały
Przemieniono, odsunięto;
Tylko tydzień wieczno-trwały —
Bo jest wsparty liczbą świętą.

Albo znowu ta treść, to życie wewnętrzne całej tej myśli wielkiej, skupione i zwarte jakby w kwiecie, na końcu każdej improwizacyi:

I ta niedziela zmienna wiekami
Pod ziemią śmierć nosi skrycie —
Na ziemi letargiem mami —
A nad ziemią daje życie!.....

Gdyby taki geniusz improwizatorski zjawił się za granicą, Niemcy nie wiedzieliby jak mają roz-

sławiać ten dziw wielki. My więcej jeszcze ukochać powinniśmy to słowo żywe i natchnione, przemawiające ustami młodej dziewicy.

Żal mi, że na ten lekki cień, co unosi się nad prześlicznemi improwizacyami naszej natchnionej poetki, ukazuję palcem jako krytyk. Nikt tego może nie spostrzega i mybyśmy może nie spostrzegli, gdyby nie ta obawa, że to może przejść w manierę, że to może odciągnąć geniusz improwizatorski od swobodnego unoszenia się na wysokich, niedostępnych nikomu sferach niebieskich. Ale jej to wina: ona sama postawiła się od razu tak wysoko, taką otoczyła się uroczystością, na taki wysoki dyapazon nastroiła ducha swego, że teraz najmniejsze odstąpienie od pierwotnej potęgi, najmniejsze zwolnienie polotu już razi oko nasze, już żywo niepokoi raz powzięte oczekiwanie. My zapominamy o tem, że Deotyma ma wielką przed sobą przyszłość, że zaledwie kilka miesięcy, jak wystąpiła i przemówiła gorącem słowem swojem do zobojętnionego świata, jak słowo to wstrząsło i zapaliło ostygłą duszę ogółu, zainteresowało do tej osobliwej potęgi poezyi i głęboko zastanowiło nad naturą tej dziwnej twórczości.—O! bo nic nie może tak wprawić w zamyślenie, jak ta dziwna błyskawica myśli, którą my w ubogiej mowie ludzkiej, słowem natchnionem zowiemy.—Wracając do improwizacyi Deotymy, zdaje się, jest do żądania, aby w niej rozwinął się więcej pierwiastek dramatyczny. Improwizacya, to życie—tu powinno wyrażać się działanie, jak najmniej tu opisów, jaknajmniej opowiadania tego, co było, *co się stało*. Poeta natchniony jak prorok widzi

oczami ducha—jak się wszystko staje wokoło niego jak się wciela słowo w życie. Teorye te najlepiej można zaczerpnąć z samych improwizacyi Deotymy, w których wbija się wyraźnie natura tego rodzaju twórczości: są one wszystkie, jakby aktem drugiego widzenia. Ona widzi to, co daje życie, wewnętrzne stworzeniu, widzi daleki lot aniołów Pańskich, widzi jak krążą złote sfery na bezmiernej przestrzeni świata, widzi jak wszystko rośnie i żyje w naturze—jak wszystko ma w niej swój sens i swoją myśl ukrytą. Ten mistycyzm jest w niej naturalny: nam zdaje się, że tak być musi w istocie, że nie może być inaczej, że wieszcze przeczucie nie myli wielkiego serca Sybilli. Czujemy to najlepiej, jak są niezbadane tajnie ducha ludzkiego...

Zawadzki ma wydać moją dwutomową powieść: „Dwie siostry". —Grabowski zajmuje się swoją cukrownią, nie wydaje tego nawet, co ma oddawna gotowe w tece do druku: czterotomowy romans „Pan Kaniowski", mający być najlepszym z jego powieści historycznych—i historyę literatury naszej od początku romantyzmu u nas. Edward Rulikowski, autor „Opisu powiatu wasylkowskiego", zajmuje się obecnie opisem powiatu kijowskiego i historyą miasta Kijowa, czerpiąc z nieznanych dotąd manuskryptów, archiwów familijnych, aktów miejskich—z pieśni i podań ludu. — Dycalp wydał powieść „Kryniec".—Syrokomla pisze dalszy ciąg swojej „Historyi literatury". Jest to pisarz, który się sam rozwinął, jako poeta narodowy i jako historyk. Ma także wydać „Wspomnienia" z przejażdżki po własnym kraju.—Kraszewski jeździł do Krymu—i pewnie bę-

dziemy mieli jego krajobrazy tego pięknego kraiku.—...—".

Przesłałam Łucyanowi Siemieńskiemu wyjątek z listu Alberta Antoniego Marcinkowskiego o wykopaliskach na Ukrainie i otóż co odpowiedział:

„Co się tyczy żądań p. Marcinkowskiego, aby coś wyrzec o jego rozprawie, przyznam się Pani, że chciawszy o tem mówić, potrzeba z wykopalisk czerpać i to jeszcze bez znajomości antropologii niewiele zagadek rozwiązać można. Z tego powodu mam zamiar napisać do „Gazety Warszawskiej", gdzie będę się starał wykazać, iż tylko z czaszek szkieletów można poznać do jakiego plemienia należą. Tą drogą we Francyi postępować zaczynają przy wykopaliskach kości, które rozpoznawają czy do Gallów, czy do Celtów, Franków, Słowian lub Rzymian należą. Wszakże nic jeszcze nie rozstrzygnięto, bo dopiero ustanawiają charakterystykę czaszek, należących do pewnych plemion. Chcę więc tylko podać wskazówkę, aby ci, co się temu oddają, weszli na prawdziwą drogę badań. U nas archeologia jeszcze na bardzo nizkim stopniu! Wszystkiego musimy się uczyć.

Jeżeli pani będziesz pisała do p. Marcinkowskiego, chciej mu donieść: że mojem zdaniem, rozwiązanie początków słowiańskich, a mianowicie wyobrażeń ich religijnych, mieści się całkiem w Zenda-Weście—Świętej Wieści.—Zoroaster.—Zerotusz—widocznie był Słowianinem, jest na to wiele dowodów. Jeżeli Bóg pozwoli zabiorę się do przekładu tego najdawniejszego pomnika religijnego z pomocą *pewnego Orjen*talisty, a spodziewam się, że pracę

tę lepiej i sumienniej wykonamy, niż Francuz Panthier i Niemiec Klenker. — Nasze Towarzystwo archeologiczne wstrzymało się od wszelkich czynności. Smutny koniec tak świetnego początku"!...

Mostyszcze, 15 stycznia 1854 r.

„...To co mi pani piszesz o pracach uczonych Lucyana Siemieńskiego zajęło mnie bardzo. Czekam niecierpliwie jego artykułu w gazecie. Chociaż wyznaję, że jego wyprowadzenie od Słowian Zorostra, ma w sobie coś jednostronnego jak „bohowie" Kołłątaja, których on widział po całym świecie. Inna jest widzieć jedność tradycyi religijnej u wszystkich ludów, a inna wyprowadzać religię Persów od Słowian. Zenda-Westa — Święta wieść — domysł nienowy i, na nieszczęście, nie zgadza się z filologią. Bo podług tej ostatniej, tytuł ksiąg partyjskich mówi „Słowo Życia". Ale najlepiej jest czekać samej pracy uczonej pana Lucyana. — Co się tyczy zdania jego o moich artykułach archeologicznych, to widocznie nie zna ich, bo mówi o jednym tylko, w którym porównuje. Mogiły nasze z pomnikami celtyckiego szczepu, chcą pokazać jak wszędzie objawiła się jedna idea, tradycya jakiegoś starego dogmatu religijnego. Ale śmieszne, jak powiedziałem wyżej, gdybym dla powinowactwa, podobieństwa objawów tej idei u różnych, miał przypisywać wszystkie te pomniki jednemu jakiemuś plemieniowi, jak n. p. Celtom. Artykuły moje o Mogiłach składały się z trzech rozdziałów. Pan Lucyan przeczytał tylko jeden, środkowy i nie zrozumiał mego dowodu w „Dzienniku Warszawskim". Wiele miesz-

czą badań archeologicznych, w których obejmuje się jedna myśl: wykazania jednej plemiennej tradycyi w całym indo-europejskim szczepie. Faktami służą mi nie same tylko pomniki, ale język, podania, obrzędy, bajki, pieśni, uroczystości dochowane z czasu poganizmu.—Mojem zdaniem, Sławianie więcej mają powinowactwa z Indyą, z Samaizmem, niż ze czcią ognia...

Teraz nastało lubownictwo zajmowania się starożytnościami. Kraszewski pisze dzieło archeologiczne: „O sztukach pięknych u Słowian i Litwinów". Będzie to ze wszechmiar dzieło ciekawe bardzo — nawet po dziele Sobieszczańskiego— bo Kraszewski ma uczucie piękna, zna się na sztuce, a co większa, ma wiele szczegółów, nieznanych dotąd nikomu.

Niedawno w „Dzienniku Warszawskim" był umieszczony ciekawy artykuł, jakich u nas na nieszczęście bardzo mało: list z Żytomierza, opisujący odwiedziny u Kraszewskiego: — jego dom, gabinet, umeblowanie, rzadkości sztuki i starożytności — jednem słowem to, co cechuje gust człowieka, na czem najwięcej wybija się charakter myśli jego. Szkoda, że wizytujący raczej chciał się pochwalić ze swoją nauką, niż był powodowany chęcią opisania Kraszewskiego w jego domu. My tak mało znamy autorów jako ludzi życia codziennego, że taki obrazek więcej nas daleko zajmuje, jak sztuczne opisy, nie z życia i duszy. — Gdyby to pani dała nam potoczną, poufałą biografią swego męża, jakieżby to miłe i ciekawe wywołało obrazki z pod tego pióra, które umie z taką prawdą kreślić wy*marzone zdarzenia*"!...

Edward Żeligowski.

Dnia jednego—w roku 1860—podobno w wielką środę — w Siekierkach — dano mi znać, że pan jakiś przyjechał do mnie. Wychodzę do salonu — i widzę nieznajomego mężczyznę: był dość młody jeszcze, wysokiego wzrostu—twarzy bladej—wyrazu znaczącego—z ciemnym zarostem:

— Jestem Żeligowski—mówi, witając mnie.

To nazwisko nagle wymówione odurzyło mnie—żem aż uszom nie dowierzała swoim — i zamilkłam.

— Przywożę pani pozdrowienia od Kraszewskiego i od wielu znajomych...

— Więc pan jesteś Antoni Sowa!—zawołałam oprzytomniała i ucieszona nad wyraz.

— Tak pani — uśmiechnął się— jestem Sową.

Dziękowałam mu z całą serdecznością za tę poczciwą o mnie pamięć.

Edwardowi Żeligowskiemu po Ołonecku i zwinięciu „Słowa" za duszno było nawet i na rodzimej Litwie. Pożegnał rodziców w dworcu nad Wi-

liją — rodzinę — przyjaciół—i podążył na zachód. Z Wrocławia zboczył do Poznania. Zapytał o Siekierki i odwiedził mnie.

Zabawił przez pół dnia — a miał tak wiele do opowiadania!—Nazajutrz do Paryża wyjechał.

Ztamtąd miałam listów kilka od niego. Potem z Genewy... I wreszcie ostatni, pisany dnia 10 października 1864. — Między innemi pisał mi wtedy:

„Donoszę Pani, żeśmy tu, w Genewie, założyli „Stowarzyszenie bratniej pomocy", które dotąd z pociechą, wyznać muszę, trwa w zgodzie i dobrej harmonii.—Jest dążeniem całej nowej emigracyi połączyć się w takie koła pod kierunkiem jednej głowy i wspólnej idei"...

W kilka tygodni potem odebrałam list od p. Alfonsa Paczoskiego z Zurychu:

„Z sercem ściśnionem bólem biorę dziś pióro do ręki, ażeby Pani przesłać wiadomość o śmierci zacnego, poczciwego, słowem nieocenionego Edwarda Żeligowskiego!... Był podporą teraźniejszej emigracyi, nie szczędził niczego, ażeby tylko przynieść potrzebującym pomoc, tak dalece, że często zapominał o własnych potrzebach. Towarzystwo Bratniej Pomocy straciło najgorliwszego, najczynniejszego członka. A miał jeszcze projekt zebrania 200,000 franków przez utworzenie loteryi na sposób berlińskiej i saskiej. W Szwajcaryi dotąd loteryi nie było. Żeligowski miał jednakże wszelką pewność na jej założenie. Chodziło tylko o rękojmię *bankiera*, którego—lecz i o to byłby się wystarał.—*Pogrzeb był skromny bardzo*".

Kochający gorąco współbraci i ziemię ojczystą, Edward Żeligowski zakończył życie trudów na obcej ziemi—lubo, że dla tułaczy przyjazno-gościnnej—i znalazł grób cichy na cmentarzu genewskim łzą uświęcony rodaków.

Wiersz następujący nadesłany mi został z Wilna—i zamieściłam go w „Wiązance literackiej".

Do Antoniego Sowy.

O, na Twem czole zaorana troska,
Myśl piersią szarpie, jak czarna zgryzota,
Pali Twe łono iskra wielka, boska,
I wbija codzień na pale żywota. —

Miljony bólów zlewa się w Twe łono,
I łez miliony kraje Twa powieka;
Czyż na to iskrę ducha rozbudzono,
By milion bólów zlać w jednego człeka.

Krople po kropli wypijasz truciznу,
Niewiedząc biedny, że napój ten truje,
Lub pozostawia okropniejsze blizny
Robak cierpienia, gdzie zabiesiaduje.

Bo ciężka przeszłość — ma piekielne zgłoski,
Któremi życia wypisuje ślady.
Nie zasiąść z niemi do żadnej biesiady,
Chyba na uczcie, gdy wezwie duch Boży!

Tymczasem ciężko—kiedy serce pęka,
I boleść codzień głosem swoim woła;
Chciałbym Cię wesprzeć—lecz za słaba ręka
O, niech ją ręka wesprze Archanioła!

Adam Pług przesłał mi do mojej książki pamiątek:

Litwin na Podolu:

Bóg zapłać! Bóg zapłać za miłe wezwanie!
Piosenki chcesz Pani! i serce me rośnie.
I chwytam swą lirę wieśniaczą radośnie,
Co oddawna nietknięta spoczywa na ścianie.

Lecz pono nierażno nieboga zadźwięczy,
Odwykła od pieśni śród łzawej tęsknice!
Pokryły ją prochy i sieci pajęcze,
Jak brudny egoizm tę piękną ziemicę...

O, piękna zaiste! tu niebo bez chmurki,
Tu ziemia się zdaje rozkosznym ogrodem,
Tu winna-latorośl przystraja pagórki,
A rzeki tu płyną i mlekiem i miodem.

Tu wiatr, co od Krymu przynosi tumany,
Pieśn nuci bojową i dumy rzewliwe;
A wtórem mu dźwięczą dwa bardy sędziwe —
Dniest z Bohem w skaliste bijąc tarabany.

A w dumach i pieśniach brzmią wielkie imiona,
Sobieskich, Żółkiewskich, Jeremich, Bohdana,
Drży ziemia, rączemi kopyty zdeptana,
Od wrzasku dzikiego drży niebios zasłona.

A dumy szeroko wciąż płyną i płyną,
Jak niegdyś krwi wrzącej płynęły potoki;
Szeroko, rozgłośnie imiona te słyną,
To stają niezłomne jak groźne epoki.

Od Złotej tam Bramy po morską głębinę,
Od Dniepru wybrzeży po śnieżne Krępaki,
Z mogiły w mogiłę, z ruiny w ruinę,
Pieśń płynie i płynie w starej sławy szlaki.

Lecz któż ją dosłyszy?... O! biada nam, biada!
Syn z ojca mogiły wyorał tu kości,
Na grodów zwaliskach cukiernie zakłada,
I depce z pogardą najdroższe świętości!

A milej mu dźwięczy trzos złotem napchany,
Niż sławna po świecie dziadowska szablica;
I milej mu duszę skrzyp watki [1]) zachwyca;
Niż brzmiące bojowym pochodem puzany.

Sławniejsza dlań Bałta, niż Chocim i Zwaniec,
A jarmark mu droższy nad koła sejmowe!...
I komuż ma śpiewać tu śpiewak wygnaniec?
I w czyjeż zlać łono uczucia ogniwa?

Więc dzięki, o dzięki za miłe wezwanie!
Lżej sercu gdy westchnie z współczucia nadzieją,
I oczom niebiosa weselej jaśnieją,
Gdy długo tajona, gryząca łza stanie.

Lżej sercu! i już się marzenie uśmiecha,
I mieni obrazy przed jasnem już okiem,
I widzę w litewskim gdzieś borze głębokim,
Szlachecki dworeczek — rodzinna to strzecha!

Tu niebo pochmurne, jakgdyby w żałobie,
Coś duma, coś marzy, coś sobie wspomina,
I krasą nie świeci ta smutna kraina,
I człeka tu suknia bogata nie zdobi.

Lecz wicher i tutaj po borach, po lasach,
Po wonnych jałowcach, na szwedzkich kurhanach,
Gra pieśni i dumy;—a Niemen z Wiliją
W krzyżackie pancerze wtór dźwięczny mu biją.

---

[1]) Watka, jest to partya wozów czumackich, idących z pszenicą do Odessy.

A lud ten nie ten, co nad Dniestrem i Bugiem!
To strzelec, co zwierzę po stepach tych goni,
To rybak, co sieci zanurza w rzek toni,
I rolnik, co mogił tknąć nie śmie swym pługiem.

Pieśń słyszy, rozumie i wziąwszy do łona,
Współczuciem ją karmi, zapałem ogrzewa,
I dziecku jej nutę w kolebce już śpiewa,
I uczy już wielkie wymawiać imiona.

A w skromnej chatynce, gdy w wieczór zimowy
Rodzina się zbierze dokoła ogniska,
Do pracy, zabawy, to treścią rozmowy
Treść pieśni ojczystej—mogiły—zwaliska.

O, gdyby Bóg dobry tam zwrócił tułacza!
Nie dałoby sercu obumrzeć natchnienie!
Jest przed kim tam śpiewać! i lira wieśniacza
Nie głuchłaby w pyle, jak tutaj na ścianie!

O! wtedybym Pani zanucił piosenkę!
I godnym słuchacza swego byłbym może,
Dziś próżno po strunach wodzę drżącą rękę!
O! przebacz mi Pani! dziś pieśni nie złożę!

1852 r. 18 stycznia na Podolu *Adam Pług.*

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Str.

Dodatek, dopełniający opowiadania poprzednie.
Władysław Syrokomla 31
Adam Pług 49
Romuald Drucki Podbereski 87
Dyonizy Skarzyński 89
Józef Bogdan Dziekoński 99
Edward Żeligowski. , ... 141

WYCIĄG Z KATALOGU

„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH".

Do nabycia w Administracyi „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH" (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ" (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1906.

Tom.	CENA w opr. kop.	CENA brosz. kop.
413. **Gen. Roman Sołtyk.** KAMPANIA 1809 r. (Wyczerpane).	30	25
414, 415. **Berta bar. Sutner.** DZIECI MARTY, z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416. **Generał kwatermistrz de Pistor.** PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ z roku 1794	40	25
417, 418, 419. **Sir Edward Bulwer Lytton.** ZANONI. Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421. **Juljusz Falkowski.** KSIĘSTWO WARSZAWSKIE. Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50

Tom.		CENA w opr. kop.	brosz kop.
422.	**W. Doroszewicz.** RODZINA I SZKOŁA, z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425.	DRUGI ROZBIÓR POLSKI. Z pamiętników **Sieversa**	1.20	75
426, 427.	OPOWIADANIA CZECHOWA tłóm. T. K.	80	50
428.	LARIK. **J. Gadomski**	40	25
429.	WŁÓCZĘGA W TRÓJKĘ. **Jerome Jerome**, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432.	**Z. Morawska.** ZMIERZCH I ŚWIT. Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433.	**Ludwik Proal.** ZBRODNIE POLITYCZNE. Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434.	**Maurycy Barres.** POD PIKIELHAUBĄ. Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435.	NEWROZA REWOLUCYJNA, według D-rów **Cabanes i L. Nassa**, opracowała K. Płońska	40	25
436.	**Antoni Gawiński.** SEN ŻYCIA. Opowiadanie	40	25
437.	**Kazimierz Bartoszewicz.** KONSTYTUCYA 3 MAJA. (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	40	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448, 458, 460, 463.	**Prof. Mikołaj Berg.** ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH. Przekład z rosyjskiego	4.00	2.50
440.	**Teodor Jeske-Choiński.** MAŁŻEŃSTWO JAKICH WIELE. Studyum powieściowe	40	25
443.	**J. Scher.** Z KRWAWYCH DNI. (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25
446, 447.	**Ryszard Voss.** WILLA FALCONIERI. Przekład M. Łaganowskiej	80	50
449, 457.	**A. Kuprin.** POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80	50
450.	**Paweł Doumer.** KSIĄŻKA MOICH SYNÓW, przekł. E. Węsławskiej	40	25
451.	**Conan Doyle.** CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40	25
452, 453, 454.	PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.20	75

Tom.	CENA w opr. kop.	brosz. kop.
455, 456. **Jerzy Rodenbach.** DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmnut Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80	50
459. **Kazimierz Rakowski.** DWA PAMIĘTNIKI z 1848 r.	40	25
461, 462. **Grazia Deledda.** POPIÓŁ. Przekład z włoskiego Wili Zyndram Kościałkowskiej	80	50
464. **Mark Twain.** SZKICE I HUMORESKI. Spolszczył Antoni J. Mikulski	40	25

Rok 1907.

465, 466, 469, 470. **Jerzy Kennan.** SYBERYA. Przełożył K. Ł. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.60	1.00
467, 468. PAMIĘTNIKI KASZTELANA NARCYZA OLIZARA. Rok 1831.	80	50
471, 471. **Faustyna Morzycka.** Z DNIA WCZORAJSZEGO. Powieść	80	50
473, 474, 475. **Paulina Wilkońska.** MOJE WSPOMNIENIA o życiu towarzyskiem w Warszawie, z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.20	75

„Bluszcz“

Najobszerniejszy najpoczytniejszy organ tygodniowy, literacko-społeczny illustrowany dla kobiet.

Pod kierunkiem literackim **Zofii Seidlerowej**

Wydawca **Piotr Laskauer.**

BLUSZCZ pomieszcza artykuły społecznej i literackiej treści pierwszorzędnych piór, poruszające najżywotniejsze sprawy społeczne, w roku 1907 między innymi pomieści: *J. Chrzanowski*, Studyum literackie. *A. Kraushar*, Autorskie prawa Kl. Tańskiej. *K. Zalewski*, Powstanie z roku 1863. *M. Gawalewicz*, Bez celu — powieść. *K. Drucki-Lubecki*, Trębowla dramat. *A. Augustynowicz*. Z ciemni. *C. Walewska*, Dwa obozy i wiele innych,

BLUSZCZ Dział Mód i gospodarstwa domowego powiększa:

PODWÓJNY DODATEK MÓD

dodawany będzie co drugi numer w celu rozszerzania działów:

UBIORY DLA DZIECI.

Krój sukien i bielizny, hafty, gipiury, monogramy, roboty drutowe, roboty koronkowe.

3000 najświeższych wzorów: sukien, okryć, kapeluszy, robót ręcznych powyższe działy objaśniają.

Bluszcz daje jeszcze 26 wielkich tablic krojów, które tak dokładnie objaśniają, że dają możność wykończania w domu wszystkich części ubrania dla kobiet i dzieci; bielizny męskiej i dziecięcej.

„BLUSZCZ“ kosztuje w Warszawie rocznie rb. 7 k. 20, półrocz rb. 3 k. 60, kwart. rb. 1 k. 80; z przes. poczt: rocz. rb. 10, półrocz. rb. 5, kwart. rb. 2 k. 50. Najlepiej zamawiać:

Administr. „Bluszczu“. Nowy-Świat 41 w Warszawie.

Prospekty na żądanie przesyła się gratis i franco.

Stanford University Libraries
3 6105 013 517 128
DK
651
W2H
V.3

Stanford University Libraries
3 6105 013 517 128
DK
651
W2W5
V.3